NUMER GWIAZDKOWY
8 stron

ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

Cena 2/-

ROK VIII. Nr 51/2 (391/2)

LONDYN, 19-26 GRUDNIA 1954 R.

O. KAROL VAN OOST, OSB

„NARODZIŁ SIĘ JEZUS CHRYSTUS, BĄDŹMY WESELI"

Może ta wesołość wydaje się dziś nie na miejscu albo przynajmniej nieco sztuczna? Lecz wesołość wymaga czasem niemałej odwagi. Piękny jest ten krzyk rzucany ponad przeszkodami niebezpieczeństwami, poprzez szarzyznę dnia bez słońca. To zaiste urąganie ziemskiej mądrości, dla której wszelki polot entuzjazmu nie posiada większej wartości niż bańka mydlana. Kto nie doznał porywającego potoku radości w święta Bożego Narodzenia, temu brak prawdziwego ducha chrześcijańskiego. Nic nie zrozumiał z tajemnicy Odkupienia. Życie pozostaje dla niego księgą zapieczętowaną. Broń Boże, wcale nie chodzi o radość na zamówienie, lecz o szerokie tchnienie nadziei, potężne jak samum na Saharze przenikające nawskroś całą duszę i całe ciało. Nadzieja ta posiada dla nas coś drażniącego, w chwili, kiedy Polska i cały świat żyją wspomnieniami przeszłych okropności i w trwodze przed jeszcze groźniejszą przyszłością, ale głos starego Proroka i Herolda dochodzi do nas z całą swą przekonywującą siłą:

„Maluczki narodził się nam i Syn jest nam dany; i stało się panowanie na ramieniu Jego i nazwą imię Jego: Przedziwny, Radny, Bóg, Mocny, Ojciec przyszłego wieku, Książę pokoju. Rozmnożone będzie panowanie Jego, a pokoju nie będzie końca; na stolicy Dawidowej i na królestwie Jego siedzieć będzie, aby je utwierdził i umocnił w sądzie i w sprawiedliwości odtąd i aż na wieki." (Izaj. IX, 6, 7)

Czy nie poznajemy w tych słowach odgłosu naszych najdroższych ideałów, dla których wczoraj walczyliśmy i dziś cierpimy? Wiek pokoju! Panowanie w sprawiedliwości! Właśnie o to chodzi. Spragnionym pokoju i sprawiedliwości, pilno nam jest doświadczyć proroczego błogosławieństwa: „Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni. Błogosławieni pokój czyniący, albowiem synami Bożymi będą nazwani. Błogosławieni, którzy prześladowanie cierpią dla sprawiedliwości, albowiem ich jest królestwo niebieskie." (Mat. V.) Z tego wynika, że od tego Księcia mamy się spodziewać urzeczywistnienia naszych pragnień i ideałów. Tylko on otrzymał wszechmoc. On jedyny jest Księciem pokoju. Stąd rzeczywistość dzisiejszego święta daje nam pewność, że nadzieja nasza posiada niezłomne podstawy. Wiemy, wierzymy, że nadzieja nasza jest całkiem uzasadniona. Jednak trudno nam jest przejść granicę teraźniejszych lub osobistych potrzeb i wymagań. Krótkowidzący, patrzymy tylko na odcinek, na którym czujemy się zaangażowanymi lub zainteresowanymi i zapominamy, że Słowo ciałem się stało dla łaknących pokoju i sprawiedliwości po wszystkie wieki. Żyjąc na ziemi pragniemy dotykalnych wyników. Nasz widnokrąg zamyka się naszymi bezpośrednimi potrzebami, a z trudem wielkim potrafimy wyjść poza własne opłotki. Że w tym jest dużo ciasnoty, to nie ulega żadnej wątpliwości.

Starajmy się zrozumieć, że teraźniejszość posiada tylko względną wartość, jeszcze daleką do ostateczności, która właściwie jedynie rozstrzygnie o naszym losie. Każdy żąda swej cząstki ze stołu ziemskich rozkoszy; i trudno nam jest się zadowolić marnymi okruszynami, spadłymi ze stołu. Na szczęście, Boże Narodzenie daje nam oczywistą pewność: „Okazała się dobrotliwość i ludzkość Boga, Zbawiciela naszego." (Tit.III,4) Od tylu wieków chrześcijanie rok rocznie słyszą to pocieszające twierdzenie. Czy tedy Pan Bóg z nami, skoro jeszcze ciągle czekamy na to królestwo przyszłości? „Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli".

Dla nas biednych śmiertelników istnieje zawsze wieczne zagadnienie, zagadnienie wiary. Można patrzeć na żłobek oczyma artysty lub miłośnika folkloru. A kto posiada żyłkę poetycką, znajdzie obfity materiał natchnienia. Wolę jednak oczy dzieci. One patrzą, patrzą, wpatrują się nienasycone w Dzieciątko, w Matkę Najświętszą, w świętego Józefa i w leżące baranki. Dużo naiwności i prostoduszności w nich, ale jakże bliskie są one rzeczywistości! W swej uproszczonej teologii pojmują całą tajemnicę! Wiedzą, że „narodził się Jezus w stajni ubogi, uniżył majestat, chociaż Pan srogi" (kolęda) i że ten żłóbek jest tylko pierwszym etapem do krzyża. Żyją w pełnym świetle.

Ach, jak słusznie pisał Charles Péguy: „Wcielenie, oto jedyne ujmujące wydarzenie!"

Wcielenie Słowa Bożego, to zaiste głębina bezdennej miłości Boga. Nie łudźmy się, dogmaty zostaną zawsze tajemnicze dla ogółu wierzących, zwłaszcza dla ludzi XX wieku. Coraz mniej rozumiemy świat nadprzyrodzony, bo Cybela ma tyle uroku i oburącz trzymamy się jej. Może jednak nie całkiem jeszcze zobojętnieliśmy na najczystszy przejaw miłości? Jeżeli wyraz miłość został poprzez wieki zlekceważony i znieważony, miłość prawdziwa, tj. bezinteresowna, potrafi jeszcze nas wzruszyć. A oto właśnie... „tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, który weń wierzy, nie umarł, lecz miał żywot wieczny. Bo nie posłał Bóg Syna swego na świat, aby świat sądził, ale aby świat był zbawiony przez Niego." (Jan, III, 16, 17)

Wiemy, jak daleko szła ta moc miłości w Chrystusie. Bez żadnej przesady Jezus może powiedzieć każdemu z nas, według zdania Pascala: „Goręcej Cię umiłowałem niż ty twoje brudy".

Przestańmy być małoduszni! Stojąc przed naiwnym żłóbkiem, otwórzmy drogi swego serca. Przed nami leży Bóg miłości, leży Miłość substancjalna, owinięta w pieluszki.

„Słowo ciałem się stało, żebyśmy mieli życie i obficie mieli." (Jan, X, 10), „aby radość Jego była w nas i aby radość nasza była pełna." (Jan, XV, 11).

O. Karol van Oost, O.S.B.



Wlastimil Hoffman

ZOFIA BOHDANOWICZOWA

DROGA PASTERZY

Autorowi „Corona Benignitatis Anni Dei"

Zanim po grzędach sękatych zaśpiewają koguty na północ,
Zanim księżyc, swój czas znający, wypłynie z chmur jak czółno
I na śniegu omierzchłym i sinym zarzuci złotą kotwicę,
Gospodarz, w czapkę uszatą odziany i w baranicę,
Ująwszy kij z dębczaka ku podróżnej podporze i pomocy,
Wychodzi z niskiej chaty w wysoką ciemność nocy.
Za nim żona i dzieci jego, i stara bezzębna matka,
I młodzieńcy, i panny z lampami, i służebna mała czeladka,
I sprawiedliwy, co jarzmo roboty dźwigał od rana,
I ten, co w ostatniej godzinie najął się na służbę u Pana,
I niewiasta, co trzy miary mąki nasypawszy do sosnowej dzieży
Zakwasiła i upiekła na wilię chleb zrumieniony i świeży,
I włodarz, co dłużnikowi odpuścił ze stu miar pszenicy,
I wezwani na gody z rozstajów bezrolni podnajemnicy,
I z co najdalszych wiosek zapisani w metrykach parafianie:
Skrzyknęli się wszyscy i żwawo podążyli na pierwsze wezwanie.
Pobieżeli pod wiatr, i pod chmury, i pod skrzydła mroźnego chłodu,
Nie przysparzając Bogu zbyt wielkiego sobą zachodu;
Nie tak, jak owi Królowie, dla których aż było trzeba
Przytwierdzoną od wieków gwiazdę poruszyć na drogach nieba,
A i to się spóźnili, krocząc z orszakiem majestatycznie,
I przybyli na miejsce wskazane dopiero szóstego stycznia.
Ci zasię brną w śnieżnych zaspach, nie szukając przedeptanych śladów,
Bo idą niewidzialnymi a trwałymi śladami pradziadów.
Nie spotykają ich w drodze betlejemskiej cyprysy i palmy,
Ale lipy bezlistne, ośnieżone, przy kościele rosnące parafialnym.
Weszli, stanęli stłoczeni od kruchty do prezbiterium,
Odmawiają pacierz za pacierzem, na pasterskie czekając misterium.
Przynieśli w zanadrzu dary tak proste, jako sami są prości:
Serca jak króbki brzozowe, napełnione miodem miłości,
I dali je Dzieciąteczku, składając kornie u proga,
Bo czymże jak nie miłością człek nakarmi swojego Boga?
Pod stropem przystanął anioł w srebrzystej sukni lnianej,
Konopnym powrósłem w pasie w równiutkie fałdy związanej,
Skrzydła miał pierzaste i ptasie, takie co goreją i świecą,
Kiedy żurawie kluczem popod słońce zachodzące lecą,
A poblask żytni i płowy świecił nad jego głową,
Jak gdy słońce przysiądzie na strzechę w godzinę południową.
I zaśpiewali wszyscy wraz z aniołem w słomianej aureoli:
Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

Zofia Bohdanowiczowa

J. E. OPIEKUNOWI UCHODŹSTWA, PRZEWIELEBNYM WIKARIUSZOM GENERALNYM, WIELEBNEMU DUCHOWIEŃSTWU, POLAKOM W KRAJU I NA OBCZYŹNIE, WSPÓŁPRACOWNIKOM, CZYTELNIKOM I PRZYJACIOŁOM — BŁOGOSŁAWIEŃSTWA BOŻEJ DZIECINY I JEJ POMOCY WE WSZYSTKICH POCZYNANIACH ŻYCZĄ:

REDAKCJA „ŻYCIA"
oraz
KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY
„VERITAS"

BRONISŁAW PRZYŁUSKI

KUKIEŁKI BOŻENARODZENIOWE

CZĘŚĆ VI.

✱ **WSTAWKA DZIECIĘCA** ✱

Do Betlejem jak duchy
szli śpiewając pastuchy.
Ci duzi i ci mali,
jak mogli pośpieszali.

Wojtek długi jak tyka
i Pietrek co utyka,
Dziubek, Dłubek i Śpioszek
i malutki Pieszczoszek.

Dudek, Brudek, Niejadek,
Wuj Antoni i Dziadek
i Pędziwiatr szalony
i Leń nieogolony.

Nikt nie został przy stadzie.
Wszyscy idą w gromadzie
i każdy w zawiniątku
niesie prezent Dzieciątku.

Tak sobie umyślili,
Tak sobie wyliczyli,
że nim północ wydzwoni,
najpierwsi będą oni.

Noc ciemna — a tu dnieje.
Anioł rozwarł wierzeje.
I ujrzeli na sianie
Jezusowe posłanie.

Pieluszki z białych chmurek,
Poduszki z ptasich piórek,
sianko z siedmiu rumianków
i Dzieciątko na sianku.

Wół i osioł klęcząco
tchną ze siebie gorąco.
Grzeją własnym oddechem
najcudniejszą Pociechę.

Zdziwili się pasterze,
że nie oni, lecz zwierzę
pierwsze na całym świecie
zdążyło ujrzeć Dziecię.

Więcej tam było tego
niźli w Arce Noego

. . . .

Motyle, bożekrówki,
pszczoły, komary, mrówki,
Wszystkie drobne owady,
Muszki, łątki, cykady,
Ptaki, gady, zwierzęta,
których nikt nie spamięta.
Zajączki, łaski, króliczki,
Kurki, kaczki, indyczki,
Mysikrólik i szczurek,
Wróbel, Mruczek i Burek,
Lew i niedźwiedź i orzeł
poklękali w pokorze.
Jeleń, lisek i wilki
i dziobaki i ryjki
i wszyscy jak umieją
mruczą, szczekają, pieją,
ćwierkają, ujadają,
ryczą, beczą, chrząkają,
zawodzą, kukają, gwiżdżą,
gruchają, gulgoczą, piszczą,
brzęczą, gdaczą i skrzeczą,
świergolą, rżą i beczą,
hukają, ciurlają, kwilą,
wszyscy tylko się silą,
żeby najmilszym głosem,
podziękować Niebiosom,
za to, że pierwsi w świecie,
ujrzeli Boże Dziecię.

P. S.

Tylko papuga mała
tak jakby oniemiała.
Ona jedna w tym tłumie
po swojemu nie umie.

CZĘŚĆ IV.

✱ **KOLĘDA NOCLEGOWA** ✱

OPOWIADACZ:

Po nocy i po grudzie
któż teraz piechotą pójdzie
na tym mrozie, po śniegu
szukać ciepłego noclegu?

Wszyscy w domu przy piecu
lampami sobie świecą.
Nie słyszą, nie widzą,
Niczego się nie wstydzą.

A do miasta gościńcem
Maryja z Oblubieńcem
idzie strudzona srodze
i ustaje po drodze.

MARYJA:

Pomaluśku, Józefie,
pomaluśku, proszę,
Wyrozumieć zechciej mnie,
Widzisz wszak co noszę.

Zajdźmy tu do gospody.
Jakiej takiej wygody...
Poprosimy o nocleg,
to choć trochę odpocznę.

JÓZEF:

Dobrzy ludzie, otwórzcie,
i Maryję wspomóżcie,
Dajcie jej jakiś kącik,
Żeby choć mogła siąść se.

GOSPODARZ I:

Wynocha! — Sakum, pakum —
To nie dom dla żebraków!
Bo jak się zirytuję,
to i psami poszczuję!

MARYJA:

Pomaluśku, Józefie,
pomaluśku, proszę,
Wyrozumieć zechciej mnie,
widzisz wszak co noszę.

JÓZEF:

Zajdźmy tu do zajazdu,
Choć tu rwetes i jazgot...
Może się ulitują,
przyjmą i potraktują.

Dobrzy ludzie, otwórzcie!
Kąt nam dajcie i pościel,
Bo Maryja ledwo stąpa,
utrudzona i wątła.

GOSPODARZ II:

Co?! Żebractwo do pary.
Ona młoda, on stary.
Idźcie szukać noclegu
do jakiegoś barłogu.

MARYJA:

Pomaluśku, Józefie,
pomaluśku, proszę,
Wyrozumieć zechciej mnie,
widzisz wszak co noszę.

JÓZEF:

Dobrzy ludzie, otwórzcie,
do ogniska przypuśćcie,
żeby mogła odtajać
Oblubienica moja.

GOSPODARZ III:

Precz! Hołota od proga!
Malowana podłoga...
Pobrudziliście błotem...
Widział kto taką hołotę!

JÓZEF:

Dobrzy ludzie, w taki czas
nikt nie zechciał przyjąć nas.
A tu chwila nadchodzi,
że się Pan Bóg narodzi.

GOSPODARZ III:

Pleciesz, pijany dziadu,
bez ładu i bez składu!
Jak wam zimno na dworze,
zanocujcie w oborze.

MARYJA:

Widać wolą pijanice
i tęgie szklanice,
niźli mnie ubogą
strudzoną wielką drogą.

Wejdźmy, rada moja,
do tego pokoja.
Do tej szopy na pokój
Józefie, opiekunie mój.

OPOWIADACZ:

Siano, siano pachnące,
nazbierane po łące!
Szopo, wesel się z Gości,
Otwórz wrota na oścież.

Wół się z osłem namknęli
Utrudzoną przyjęli,
bo nie mogła u ludzi
znaleźć skrawka pościeli.

JÓZEF EKKERT

U KOLEBKI POLSKIEJ PASTORAŁKI

PIEŚŃ NABOŻNA W WIEKU XV i XVI

Twórczość w dziedzinie polskiej pieśni nabożnej w XV wieku ograniczała się przeważnie do przyswajania językowi polskiemu wzorów obcych. Zarówno hymny łacińskie, psalmy, chorały, sekwencje — produkty muzyki gregoriańskiej — oraz pieśni czeskie przełożone na język polski składały się na szczupły jeszcze repertuar polskiej pieśni kościelnej.

Pieśń „Resurrexit Christus hodie" przetłumaczono na język polski: „Z śmierci wstał ninie Chrystus Pan". Najstarsza pieśń o Bożym Narodzeniu z roku 1424, intonowana przez księdza i podchwytywana przez lud: „Zdrow bądź królu angielski! K'nam na świat w ciele przyszły" etc. pochodzi z Czech.

Inna pieśń o Bożym Narodzeniu, również przetłumaczona z języka czeskiego, „Stałać się rzecz wielmi dziwna", pojawia się w roku 1442. W śpiewniku Przeworszczyka znajdowała się również pieśń bożenarodzeniowa z roku 1435: „Chrystus się nam narodził, jenż dawno powieszczon był". Pieśni z XV wieku, podobnie jak z XVI, ulegały różnym przeróbkom; pieśń o narodzeniu Chrystusa nazywano w tym czasie również rotułą, jak się dowiadujemy z rękopisu z drugiej połowy XV wieku, w którym pomieszczono kilka kolęd w przeróbce z łaciny. Są to: „Panna Pana porodziła", „Nuż wy bielscy panowie", „Stała się nam nowina" i inne.

W XVI w. mnożą się przekłady z języka łacińskiego, a pieśń o narodzeniu Chrystusa krzewią szczególnie zakony franciszkański i bernardyński. W tym czasie spotykamy się z pieśnią: „Nabożne i rozkoszne tulenie nowonarodzonego Pana Jezusa". Przyjął się równocześnie zwyczaj kołysania kolebki z Dzieciątkiem, przy równoczesnym śpiewie w kościele; gdzieś zwykle w bocznej nawie była ustawiona kolebka z postacią woskową lub drewnianą Dzieciątka Jezus. Popularną kolędą XVI wieku jest „Anioł pasterzom mówił", śpiewana do dziś na obszarze całej Polski.

Wyraz kolęda na oznaczenie pieśni o narodzeniu Chrystusa przyjął się około połowy XVI w. Mimo już bardzo wzrastającej twórczości w dziedzinie pieśni kościelnej, a zwłaszcza kolędowej, wiele się przekłada pieśni czeskich, a protestanci polscy również tłumaczą pieśni niemieckie, otoczone, jak wiadomo, wielką opieką przez Marcina Lutra. Kolędom i ich rozwojowi sprzyjały wielce różne obrzędy, ściśle związane ze świętem Bożego Narodzenia, przede wszystkim jasełka. Kolędy wzorowane na hymnach i psalmach łacińskich odznaczały się zarówno powagą słowa jak melodii. Zmiana nastąpiła w tym względzie z chwilą pojawienia się w tekstach kolędowych scen pasterskich.

POWSTANIE POLSKIEJ PASTORAŁKI

Liczni twórcy liryki polskiej w początkach XVII wieku, m. in. szereg pisarzy ze stanu mieszczańskiego w Krakowie i Lwowie, uprawiało szczególnie małe formy poetyczne pieśni, także tanecznej; od włoskiego tańca padwana nazywano tego rodzaju pieśni taneczne padwanami. Ten ostatni taniec dostał się do Polski dzięki studentom, powracającym do kraju po studiach w Padwie lub też dzięki włoskim muzykom, przybywającym na występy do Polski. Padwan zresztą rozpowszechnia się w całej Europie zachodniej i środkowej.

Oprócz licznych wydawnictw utworów (książka K. Badeckiego zawiera 13 zbiorków pt. „Liryka mieszczańska w Polsce"), nową formę poetyczną i taneczną szerzyli wędrowni rybałci (włoski ribaldo oznacza śpiewaka, psalmistę), żacy, kantorzy, organiści, nauczyciele. Utwory te, o rytmie tanecznym, o treści i formie zbliżonej do pieśni ludowej, śpiewano w czasie tańca.

W roku 1630 ukazuje się w Krakowie książka zawierająca 36 pieśni o Bożym Narodzeniu pt. „Symfonie anielskie, abo Kolenda". Zbiorkowi tych pieśni w literaturze naszej poświęcono sporo uwagi, od Wiszniewskiego i Maciejowskiego do Kallenbacha, który w wykładach uniwersyteckich we Lwowie omawiał ów zbiorek, Juliana Krzyżanowskiego, M. Piszczkowskiego i innych.

Autorstwa nie rozstrzygnięto dotychczas stanowczo, jednak większość piszących o „Symfoniach anielskich" przypisuje je Janowi Karolowi Dachnowskiemu, a nie Żabczycowi. Z muzykologów ostatnio uwagę „Symfoniom" poświęcił prof. Jachimecki i Jan Prosnak. Na kilku pierwodrukach „Symfonii", znajdujących się w bibliotekach polskich, znajdują się uwagi, na jakie melodie ma się śpiewać odnośne symfonie. Specjalnie egzemplarz Biblioteki Czartoryskich ma instrukcję, informującą o melodiach wszystkich 36 symfonii. Instrukcja ta ma ważne znaczenie już dlatego, że informuje nas o kilkudziesięciu różnych tańcach i pieśniach polskich, ogólnie znanych w owym czasie w Polsce. A ponieważ przy niektórych symfoniach jest podanych parę pieśni, na których melodię można śpiewać daną symfonię, przeto liczba tych tytułów dochodzi do około pięćdziesięciu pieśni, których datę istnienia można w przybliżeniu ustalić, co również nie jest obojętne. Poza tym ta okoliczność ma również znaczenie dla etnografa, zwłaszcza studiującego folklor muzyczny.

TEMATYKA SYMFONII

„Symfonie anielskie" wprowadzają do polskiej kolędy szeroki wachlarz scen z życia wiejskiego pasterzy, a ponieważ wiele kolęd jest pochodzenia ludowego, w których twórcy sceny w stajence betlejemskiej opisują czy to narodzenie Chrystusa, czy hołd Trzech Króli, czy śpiewy pastusze o melodii krakowiaka lub mazura przy przygrywce kapeli ludowej, czy wreszcie mroźny klimat betlejemski, dokuczający „nagusieńkiemu" Dzieciątku złożonemu w żłobie, przeto scena pastorałek nabiera charakteru wsi polskiej. Najliczniejsze pastorałki opiewają narodzenie Chrystusa i radość, że przez przyjście na świat Zbawiciela, grzech pierworodny ciążący na ludzkim pokoleniu zostanie zmazany (symf. 3, 6, 16, 18, 22, 24, 29, 35).

Adoracja Trzech Króli tematem jest siódmej, rzeź niewiniątek jest treścią dziesiątej. Do pastorałek-kołysanek należy wliczyć dziewiętnastą, odznaczającą się wdziękiem i radosnym nastrojem pasterzy, którzy przygrywając na multankach kołyszą Dzieciątko; podobny temat znajduje się w pastorałce dialogowej (27). „Albo pięknie zagrajcie albo skrzypce dajcie", po czym następuje odpowiedź: „Ja będę grał / Będę śpiewał / I małe Dzieciątko / Z Józwem kołysał". O ucieczce do Egiptu opowiadają pastorałki 17 i 30. Stosunkowo liczne pastorałki o charakterze kolędniczym dowodzą, jak powszechny był zwyczaj chodzenia po kolędzie.

W symfoniach spotykamy przeważnie wątki religijne, jedynie końcowy apel do gospodarza o podanie wina jest świecki: „A my śpiewać będziemy / Nowe pieśni Dzieciątku i rozkołyszemy" (symfonia pierwsza). Natomiast dziesiąta pastorałka, wspominając o radości powszechnej z powodu narodzenia Jezusa zachęca: „I my Go dzisiaj witajmy / Tym wieczorkiem popijajmy. / Ej, nom, ej! / Życząc roku fortunnego / Pijmy jeden do drugiego".

Inna znów symfonia kolędnicza zachęca gospodarza do dzielenia radości powszechnej. Również kolędnicza, mająca jednak prawdopodobnie przeznaczenie przy stosowaniu ceremonii kolędniczej w domach szlacheckich, duchowieństwa lub inteligentnego mieszczaństwa, jest jedyna kolęda zbiorku mająca wstawki łacińskie: „Po kolędzie omnes ad vos pójdziemy" (Po kolędzie wszyscy do was pójdziemy).

Budowa zwrotek jest bardzo różnorodna i kunsztowna, o bardzo wyrazistym rytmie, zwłaszcza tam, gdzie spotykamy naśladownictwo pieśni ludowej. Rym przeważnie żeński.

Inne cechy pastorałki, przemawiające do uczucia czytelnika lub śpiewaka, to pierwiastek uczuciowy, przemawiający ze strof w scenach betlejemskich, malujących ubóstwo narodzenia Chrystusowego, troskę, czy zimno zbyt nie dokucza Dzieciątku; często spotykamy się z naiwnym zdziwieniem, że Jezus zstąpił z nieba na ziemską dolę i niedolę. Prostota i poufałość w stosunku do Dzieciątka oddaje znakomicie charakterystyczne cechy naszego ludu. Z czasem, zwłaszcza w wieku XVIII, poufałość przybierze cechy rubaszne; świecki charakter zarysowujący się już w drobnych rysach w symfoniach, zmieni się w pastorałce kolędniczej w pieśń świecką, której najistotniejszym rysem będą życzenia wszelkiej pomyślności i zdrowia gospodarzowi, gospodyni domu, dzieciom i służbie, a w końcu, aby się fortuniło również w stajni, oborze i na górze, tj. na strychu, gdzie zwykle składano siano.

Zeświecczenie pastorałek i ton pewnej poufałości w traktowaniu tematyki spowodowały zakaz władzy duchownej śpiewania pastorałek w kościele.

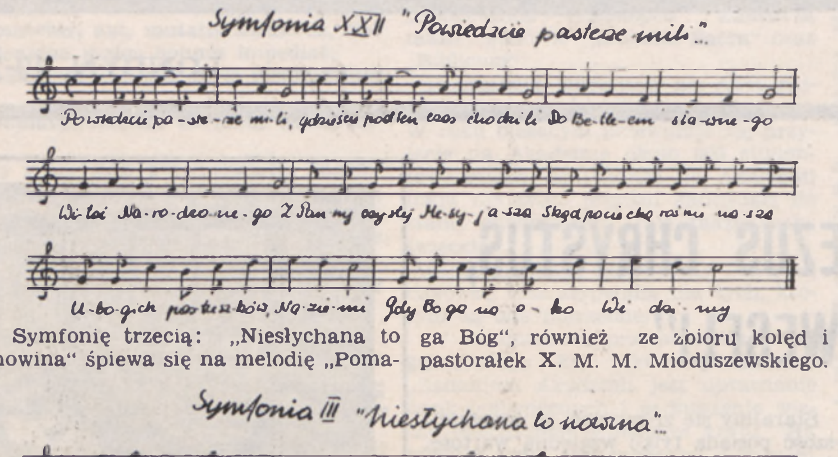
STRONA MUZYCZNA „SYMFONII ANIELSKICH"

Dachnowski, autor „Symfonii", decydując się na podkładanie tekstu swoich kolęd pod melodie taneczne i pieśni świeckie, zapewne znał przykład sprzed stu kilku lat, kiedy to Luter do swoich pieśni, tworząc chorał protestancki, podłożył 37 pieśni własnych pod ulubione pieśni świeckie.

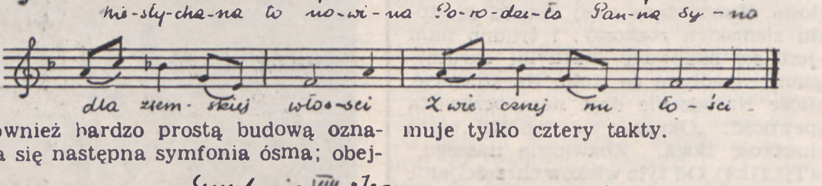
Religijna strona symfonii nie nastręczała szczególnych zastrzeżeń, symfonie, cieszące się poprawną formą wiersza i melodiami znanymi w Polsce, mogły się łatwo przyjąć. O popularności ich świadczą cztery wydania w ciągu 22 lat.

A. Piszczkowski, zajmujący się literacką stroną „Symfonii", wylicza 14 symfonii, które odszukał w wydaniu „Pastorałek i kolęd" znaczniej rozszerzonym aniżeli „Pastorałki i kolędy" z 1843 r., gdzie znajduje się ich 12. Jachimecki w swojej „Historii muzyki polskiej" omawia kilka symfonii. Natomiast muzykolog Prosnak na podstawie instrukcji, wskazującej na melodie, jakie należy zastosować do odnośnych symfonii, uwieńczył swoje poszukiwania odnalezieniem melodii do symfonii 10 i 13, poświęcając swoje badania stosunkowi kolęd do naszej pieśni ludowej. W wyniku własnych spostrzeżeń zwrócę uwagę na kilka dalszych punktów instrukcji i pieśni, których melodię zastosowano do symfonii.

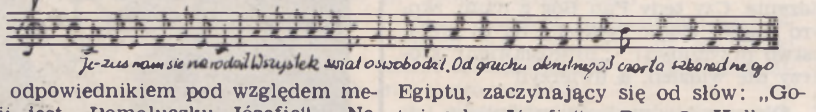
Na podstawie wskazówek podanych w VI tomie Historii literatury Wiszniewskiego wskazuję na melodię „Hoj, kozaczeńko", do której melodię podłożono pod teksty symfonii 21 („O, Jezu mój, Synu drogi") i 22 („Pastuszkowie bracia mili"), zmienionej później na „Powiedzcie, pasterze mili". Melodia ta, bardzo popularna wówczas w Małopolsce i na Ukrainie, zatraciła się z czasem. Przechowała się dzięki Mioduszewskiego „Pastorałkom i kolędom" z 1843 roku, gdzie figuruje pod numerem 78; mała uwaga: Dachnowski, rozszerzając tekst swojej symfonii 22 o 3 trzyzgłoskowe wiersze, był zmuszony powtórzyć dwa końcowe takty „Kozaczeńka". Zresztą metrum symfonii i pieśni polsko-ruskiej zwanej także „Pieśnią kozaka Płachty" są zupełnie zgodne.



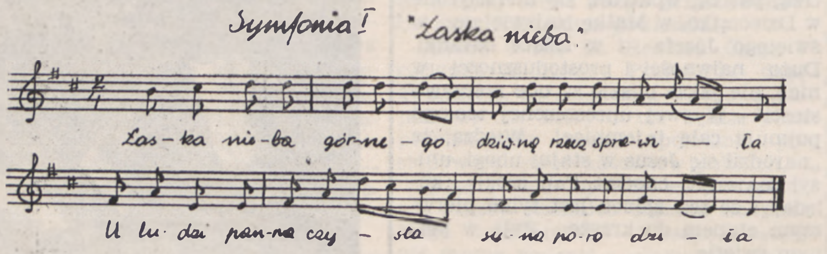
Symfonię trzecią: „Niesłychana to nowina" śpiewa się na melodię „Pomaga Bóg", również ze zbioru kolęd i pastorałek X. M. M. Mioduszewskiego.

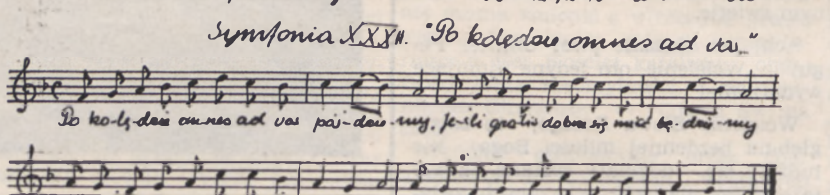


Również bardzo prostą budową oznacza się następna symfonia ósma; obejmuje tylko cztery takty.



Jej odpowiednikiem pod względem melodii jest „Pomaluczku Józefie". Na podstawie zapisek marginesowych na pierwodruku kórnickim, pod melodię krakowiaka: „Ja ubogi bernardyn" podłożony jest tekst pierwszej symfonii: „Łaska nieba górnego" i symfonii 17, opiewającej ucieczkę św. Rodziny do Egiptu, zaczynający się od słów: „Gotuj osła, Józefie". Por. O. Kolberg: „Poznańskie" t. V. p. 172. „Ja ubogi bernardyn", to kolęda jasełkowa, śpiewana za czasów Kolberga w miejscowości Ołobok pow. Ostrów, woj. poznańskie.





O wybitnie kolędniczym charakterze jest pastorałka: „Po kolędzie omnes ad vos pójdziemy".

W zbiorku ks. Mioduszewskiego znajdujemy jej melodię wraz z tekstem w misterium załączonym na wstępie zbiorku, zatytułowanym „Pastorałka". Jej melodia, wcale kunsztowna, w takcie parzystym nie jest melodią wskazaną przez instrukcję, która wyraźnie zaleca pastorałkę: „Św. Szczepan po kolędzie". Jest to pastorałka osnuta na tle stosunków krakowskich, wzięta z misterium, o poważnej melodii w takcie 4/4, zanotowana w zbiorku ks. Mioduszewskiego z 1843, pod numerem 89.

Melodię i tekst tej kolędy zamieszcza również Kolberg: „Krakowskie", seria V p. 242, jednak nie w takcie 4/4 lecz w 2/4.

Niektóre z symfonii utrzymują się w tonie ludowym, zarówno pod względem tekstu jak melodii. Do tych symfonii należy przede wszystkim symfonia czwarta: „Przy onej górze", śpiewana na melodię pieśni ludowej: „Hej tam na górze jadą rycerze". Pieśń ta ma wiele wariantów, zarówno co do tekstu jak melodii. Notuje kilka wersji tej pieśni Kolberg w „Poznańskim". Z pieśnią tą wiąże się tragiczna legenda o siostrze zabójczyni najmłodszej swej siostry. W słowach symfonii: „Oj, pastuszku graj, Bóg ci pomagaj" widzimy dosłownie wzięty ustęp z wariantu tej pieśni, zanotowanego przez Kolberga w jego: „Pieśniach ludu" (rok 1857 p. 293). Melodię zbliżoną do wielu wersji notowanych w „Ludzie" Kolberga, a podaną przez ks. Mioduszewskiego w zbiorku pod numerem 83, można uważać już za przebrzmiałą, wobec śpiewanej obecnie powszechnie znanej melodii o wyrazie lirycznym i rzewnym charakterze melodii.

Symfonię 14: „Z raju pięknego miasta" według instrukcji winno się śpiewać na melodię pieśni: „Jechał chłop do miasta". Pieśń ta pojawiła się w zbiorku zatytułowanym: „Pieśni i tańce zabawom uczciwym gwoli" R.P. 1614. (Por. Badecki: „Liryka mieszczańska").

Pieśń ta, opiewająca podróż niefortunną chłopskiej pary małżeńskiej, podjętą celem zakupów, których jednak nie dokonano z powodu przebrania miary w trunkach, o 17 zwrotkach, przeszła z czasem do ludu. Na jej przykładzie widzimy psucie się pieśni artystycznej po wejściu w lud. Kolberg zapisał ją jako pieśń o trzech zwrotkach czterowierszowych, a zaleca śpiewać ją na melodię: „Konik zmok i ja zmok" (zmokł). Melodia ta jednak odbiega zupełnie od melodii zanotowanej w zbiorze ks. Mioduszewskiego: „Z raju pięknego miasta" (nr 120). Melodia ze zbiorku ma charakter zawodzeń, jakie przemawiają do słuchaczy z pieśni dziadowskich.

ROLA PASTORAŁKI W PIEŚNI RELIGIJNEJ I ZWYCZAJU

Pastorałka zakazana w kościele (1738 r.), tym głośniejszy oddźwięk zyskuje śpiewana w domu w okresie Bożego Narodzenia (od wigilii do Gromnicznej); jest ona ważną częścią widowisk jasełkowych, chodzenia po kolędzie z szopką i misteriów. Pastorałka kolędnicza, jak wspomniano, zawiera w sobie specjalne ustępy z życzeniami składanymi na odchodnym z domów gospodarzy.

Śpiewanie w domu pastorałek o treści przypominającej epizody z życia Jezusa i św. Rodziny oddziaływało niewątpliwie dodatnio na atmosferę domową. Wieczerza wigilijna będąc wielkim wydarzeniem rodzinnym, niosła z dźwiękiem ulubionych kolęd i pastorałek wielką nowinę o przyjściu na świat Zbawiciela. Jego ubogie narodzenie było znakiem, że Boże Narodzenie, to święto biedoty wszelakiej. Symbol stołu wigilijnego, do którego zasiadał wspólnie pan i sługa, równał różnice społeczne. Atmosfera ciepła życzeń wigilijnych przy łamaniu się opłatkiem kazała zapomnieć o nierówności społecznej. Werset kolędy: „Ubodzy! was to spotkało, Witać Go przed bogaczami" wpływał kojąco na zebranych przy wigilijnym stole. Ginęła wszelka nierówność. Platforma Kościoła zawsze zbliżała wszystkich wiernych, równając ich wszystkich wobec majestatu Boga. Kolęda artystycznego pochodzenia bratała się ze swoją ludową siostrzycą pastorałką w modlitewnym nastroju wieczoru wigilijnego.

Wtargnięcie pieśni religijnej w życie codzienne powoduje twórczość ludową na tym polu. Rodzą się nowe pieśni, powstają nowe misteria ludowe.

Radosny nastrój okresu świątecznego utrwala się w pamięci; nie giną w zapomnieniu widowiska jasełkowe, wnoszące w monotonię życia wiejskiego jasny promień. Przed wiekami powstałe widowiska jasełkowe, Herody, szopki odnawiają się co roku, najwyżej gdzieś tam upstrzone przyczynkiem lokalnego rysu. W tradycję pokoleń wtłoczone przeżycia duchowe trwają niezmiennie; jest ta tradycja jakby żywym archiwum, gromadzącym wartości duchowe obrzędów bożenarodzeniowych.

Wchłaniając wiele rzeczy od warstw wyższych wkłada również i lud swoją cząstkę w kulturę narodu. Nie zapomniany jest wkład ludu w melodię kolędy i pastorałki. Pieśni te ozdobione krasą ludowej melodii, bardzo często nawet, gdy tekst jest pochodzenia artystycznego, trwają wieki przynosząc w okresie Bożego Narodzenia pociechę i ukojenie całemu narodowi.

Józef Ekkert

OBRONA ŚWIĘTA BOŻEGO NARODZENIA

W PURYTAŃSKIEJ ANGLII

Atak purytanów angielskich na wyznania religijne, które nie podporządkowały się konformistycznemu kalwinizmowi, był ostatnim krwawym wstrząsem mającym swe bezpośrednie źródło w Reformacji. Purytanizm różnił się od ruchów reformacyjnych w wielkich krajach kontynentu jednak tym, że opanowawszy władzę świecką w Anglii i Szkocji mógł w okresie dwudziestu lat kontrolować życie religijne społeczeństwa i wciskać je w ramy purytańskiego schematu.

Walka z świętami kościelnymi, za wyjątkiem niedzieli, była jednym z punktów purytańskiego programu. Święto Bożego Narodzenia było na czele listy zabronionych świąt.*)

Jeśli Stubbs i Prynne, jako główni literaccy przywódcy, walczyli piórem przeciwko Bożemu Narodzeniu, to purytański parlament przez różne uchwały utrudniał obchodzenie tego święta w dawnym przepychu i okazałości a ostatecznie, wydając w dniu 8 czerwca 1647 roku „Ordinance of Abolishing of Festivals", znosił je całkowicie pod zarzutem, że były pozostałością pogańskiego zwyczaju. Argumentacja tej ustawy była echem częstych purytańskich oskarżeń. Parlament, by pośrednio stworzyć okoliczności do wykonania uchwały, nakazywał otwarcie sklepów w miastach w dniu Bożego Narodzenia. Ustawa jednym zamachem miała zmienić styl życia ustalony przez wieki.

Lecz mimo całego terroru, jaki rząd Cromwella wywierał na społeczeństwo, opór przeciw zniesieniu Bożego Narodzenia był powszechny i silny, tak wśród katolików jak i wiernych Church of England. Najprostszą formą tego oporu było obchodzenie święta w domu, w obrębie rodziny, przy zapewnieniu środków ostrożności przed wykryciem przez purytanów. Odważniejsi obchodzili święto w kościołach. Szereg kościołów w Londynie było, jak zanotowali pamiętnikarze, przybranych zielenią i wypełnionych wiernymi w pierwsze zniesione święto w 1647 roku. Lord Mayor Londynu, by zadość stało się prawu, wysłał urzędników do kościołów, by zaprzestano nabożeństw. Lecz przedstawiciele prawa zostali odprawieni z niczym. Tylko na skutek osobistej interwencji Lorda Mayora uniknięto rozruchów.

Otwarte bunty przeciw zarządzeniu parlamentu miały miejsce w tym roku w Ipswich i Canterbury; w Canterbury doszło do walk ulicznych trwających dwa dni. O tych ostatnich mamy szczegółową relację w pamflecie „Canterbury Christmas".

Jeśli bunty i rozruchy miały raczej charakter sporadyczny, to walka słowem, walka literacka w obronie zniesionego święta była bardziej powszechna i trwała do końca purytańskiego okresu w Anglii. Brali w niej udział tak katolicy jak i anglikanie, pisząc ulotne poematy, zwane przez historyków literatury angielskiej balladami (ballads) i pamflety prozą. Wiele z tych poematów pod względem wartości literackiej zasługuje na to, by je zaliczyć nie gdzie indziej niż do grupy poezji o częstochowskich rymach. Olbrzymia większość tej produkcji jest bezimienna. Wśród kilku znanych z imienia autorów, John Taylor, znany jako Waterpoet, jest chyba najwybitniejszą postacią.

Ogół tych bezimiennych pisarzy, walcząc w obronie Bożego Narodzenia, nie podważał teologicznej argumentacji purytanów przeciw świętu, ale bronił święta głównie jako elementu tradycji, jako społecznego wydarzenia, z którym wiązała się radość życia. Teologiczne rozważania były czymś zbyt trudnym dla umysłów tych samorodnych rymotwórców, podczas gdy tradycyjne święto z ziemską radością było czymś realnym i bliskim. Boże Narodzenie nie jest w tej literaturze jedynym elementem, ale jest splecione z szeregiem aktualnych wydarzeń wewnętrzno-politycznych, czy społeczno-gospodarczych.

Oto kilka ech z tej literatury. Autor „Christmas Song" wywodzi, że narodzenie się Jezusa było pierwszym od stworzenia świata wydarzeniem, które przyniosło ludziom prawdziwą radość; święto Bożego Narodzenia było rozpamiętywaniem wydarzenia i braniem udziału w prawdziwej radości. Władza świecka nie miała prawa, by znieść to święto. Parlament, który uchwalił zniesienie święta, nie był wolny w swym postępowaniu. Autor wyraża nadzieję, że kiedy wolny parlament zostanie przywrócony, święto Bożego Narodzenia będzie również obchodzone.

Dla innego autora, purytański porządek bez Święta Bożego Narodzenia jest próbą odwrócenia naturalnego porządku. Z tego przeświadczenia zrodził się tytuł poematu „The World is Turned Upside Down". Zakaz obchodzenia święta — sądzi autor — można porównać z zarządzeniem Heroda wymordowania dzieci. Radość z narodzenia się Jezusa była udziałem mędrców-króIów, aniołów i pasterzy; dlaczego ludzie dzisiaj mają być jej pozbawieni? Po zniesieniu święta życie ludzkie zszarzało. Radości życia nie zastąpią ciągle wydawane purytańskie rozkazy, jak np. by mordować ludzi w bitwach czy zdobywać miasta.

Zakaz obchodzenia Bożego Narodzenia stał się — zdaniem bezimiennego autora „Christmas Lamentation" — źródłem wszelkiego zła. Nie tylko zanika dawna dobroczynność i wystawność, ale wszystkie stany społeczne są niezadowolone i dawny dobrobyt chyli się ku ruinie.

Bardziej niż którykolwiek inny utwór „A Song in Defence of Christmas" tchnie satyrą. Autor wyśmiewa etymologiczne znaczenie wyrazu „purytanin". Purytańska bezwzględność w przestrzeganiu przepisów jest tak wielka, że nawet nie mogą oni patrzeć na świąteczne ciasto. Oburza purytanów zbieranie się ludzi dla obchodzenia święta, ale nie znajdują nic niewłaściwego w swoich hucznych zebraniach. Zwiększone podatki, częste sekwestry majątków za purytańskich rządów nie uszły uwagi autora. Ale mimo zakazu i gróźb należy obchodzić święto Bożego Narodzenia; trzeba jednak zachować środki ostrożności, bo purytańscy żołnierze będą śledzić tych, którzy obchodzą święto.

Może najbardziej codzienna wśród tej poezji jest „Christmas Carroll", której autor nawoływał do obchodzenia świąt w tradycyjny sposób, z dobrym jedzeniem, którego symbolem jest dla niego kapłon i piwo. Bawiąc się — dodał, jak i autor poprzedniej ballady — nie należy zapomnieć o środkach ostrożności przed purytanami.

Jeśli ogół poetów, obrońców Bożego Narodzenia, ograniczał się raczej, jak już wspomnieliśmy, do obrony Bożego Narodzenia jako elementu tradycji, niż wdawał się w teologiczną argumentację, to John Taylor w „The Christmas In and Out" starał się dać odpowiedź właśnie purytańskim teologom. U podstaw jego wywodu leży założenie, że władza świecka nie może znosić postanowień władzy kościelnej, jeśli one dotyczą spraw kościelnych. Christmas, personifikacja święta Bożego Narodzenia, argumentuje przeciw purytańskiemu twierdzeniu, że jedynym świętem przez Boga ustanowionym jest niedziela. Taylor dowodzi, że władza kościelna, która pochodzi od Boga, ma prawo ustanawiać święta. Fakt zaś, że ludzie nadużywają świąt a w szczególności Bożego Narodzenia dla świeckiej rozrywki, nie zmniejsza i nie może zmniejszyć Majestatu Bożego. Nie mają racji purytanie, wywodzi poeta, jeśli znoszą Boże Narodzenie z powodu wesołego obchodzenia święta przez wiernych.

Literacka obrona Bożego Narodzenia osłabła po roku 1653 nie tyle w rezultacie ponawianego co roku zakazu obchodzenia święta, ile raczej z powodu trudności drukowania utworów atakujących purytański porządek. Cromwell i parlament czynili wysiłki, by nie dopuścić do ich krytyki i dlatego wzorem poprzednich władców parlament ograniczał wolność drukowania bez zezwolenia, Parlament uchwalił w tym kierunku ustawę w r. 1649. W r. 1653 została ona uznana za stale obowiązującą. W tymże samym roku Gilbert Mabbot został mianowany cenzorem. Jak sumiennie pojmował on swój obowiązek, dowodzi tego fakt, że 18 drukarzy zostało osadzonych w Newgate w ciągu dwu miesięcy za pogwałcenie ustawy.

Walka o Boże Narodzenie zakończyła się z upadkiem purytańskiej władzy w roku 1659. Jako echo tej walki pojawiły się dwa dialogi, napisane przez Josiah King. Jeden to „The Exa-

(Dokończenie na str. 8)

*) W artykule „Walka ze świętami" ogłoszonym w ŻYCIU w r. 1950 dałem krótki zarys walki purytanów przeciw świętu Bożego Narodzenia w końcu XVI i początku XVII stulecia. W artykule obecnym chcę przedstawić rozwój obrony Bożego Narodzenia na podstawie niewykorzystanych dotychczas materiałów.

ZOFIA KOSSAK

ZLECENIE

Jest początek grudnia 1249 roku. Zima zapowiada się sroga, rzeki stanęły, śniegi zawaliły drogi i opłotki, wilki zbierają się w stada i podchodzą pod wsiowe obejścia. A wszakże to dopiero początek mrozów! Bieda, bieda, bo i lato było niespokojne, mokre. Od św. Jana do św. Urszuli padało prawie bez przerwy. Pszenica i żyto porosły w kopach. Teraz znów rzepa w polu zamarzła... Oj, ciężki będzie przednówek!

Jakby tego było mało, ciągle walki Piastowiczów między sobą wyniszczają udręczony kraj. Konrad mazowiecki, śląski Rogatka, Włodzimierz Plwacz, niby swojacy, a gorsi od cudzych. Drużynnikom, książętom, służy ustawiczna wojna. Nie rdzewieją doma. Gorze poddanym! Każdy przejazd zbrojnych, wszystko jedno czyich, to sądny dzień, krzywda, rabunek, zniszczenie. Ludzie uciekają z sioł, kryją się po lasach, jak osiem lat temu, przed Tatary. Nędza wzrasta. Gniew Boży nad polskim krajem.

Troska się tym księżna krakowska Kinga, córka węgierskiego króla. Niedola poddanych tkwi w jej sercu niby cierń. Ani go wyrwać, ani mu zaradzić. Mąż nieudolny, uczciwy, jednak oddany, nie dba o te sprawy. Jedynym człowiekiem, co uczucia księżnej podziela, jest Prandota, słynący z miłosierdzia i rozumu biskup krakowski. Właśnie przyszedł na wawelski dworzec w odwiedziny i gadają siedząc w narożnej komnacie. Na kominie płonie ogień, lecz Kinga odsunęła swój stołek daleko. Powiada, że ciepła nie lubi. W samej rzeczy nie chce grzać się przy ogniu, gdy ludzie w podgrodziu siedzą w izbach o ścianach szronem wyiskrzonych. U nóg księżnej, przytulona niby piesek do swego pana, przycupnęła najmłodsza jej siostra, Jolanta, zaledwie dziewięcioletnia. Z lic niepodobne są do siebie te królewny. Kinga ma ciemną, węgierską urodę, u Jolanty włosy jasne jak len, oczy modre, a cera bladawa. Dziewczynka chowa się od paru lat na krakowskim dworze, zastępując rodzone dziecko księżnie, co dziewictwo dożywotnie ślubowała. W przyszłości Jolanta poślubi księcia kaliskiego, Bolesława Pobożnego. Jedna z jej córek będzie żoną Władysława Łokietka, ukoronowanego pana zjednoczonej Polski.

Ale to jeszcze daleko.

Biskup Prandota pochodzi z Odrowążów, niepospolitego rodu, co dał Polsce św. Jacka, bł. Czesława, bł. Bronisławę, — i jego, Prandotę. Bo wszystkich troje, tu obecnych, Kingę, Jolantę, biskupa, Kościół nazwie kiedyś błogosławionymi. Nie domyślają się tego bynajmniej.

W komnacie znajduje się jeszcze dworka księżnej, Ofka. Stojąc za krzesłem swej pani przysłuchuje się ciekawie rozmowie.

PRANDOTA (mowa jego spokojna, rozważna). Srogi jest głód, lute są mrozy, lecz najgorsza jest niezgoda. Gdyby Bóg zwolił do jedności doprowadzić, wszystkim stałoby się lżej...

KINGA. Któż mocen pogodzić zwaśnionych, skoro waśń im miła? Wprzódy trza by w nich serca odmienić.

PRANDOTA. Wielkie było niegdyś to królestwo, wielkie i podziwiane... Na nice zeszło. Liczyłem kajś, ilu mamy udzielnych, dziedzicznych książąt. Naliczyłem dwudziestu, ale zda mi się, żem poniektóre pominął. Każdy z tych włodyków żre się z drugimi, Niemców Pomorzan czy Brandenburczyków gotów na pomoc wezwać... Obcym hołdownikiem się uczyni, byle sąsiada pokonać... Na proch rozbite państwo, ani ładu, ani rządu. Zabierze je, kto zechce...

KINGA. Może Bóg się ulituje i cud uczyni...

PRANDOTA. Orędowników potrzeba, co by się do Boga za nami wstawiali. Ot, szczęśliwi Wielkopolanie! Mają św. Wojciecha i modły do niego zanoszą podobnież bardzo skuteczne...

KINGA. My mamy św. Floriana relikwie...

PRANDOTA (zakłopotany). Słusznie prawicie, Wasza Miłość, mamy... Wielki męczennik św. Florian... jeno... nie tutejszy... Rzymski rycerz, co mu do naszych, polskich spraw?

KINGA. Zaliż swojacy mocniejsi?

PRANDOTA (j. w.). Nie wiem czy mocniejsi, to pewna, że ludzie do świętego swojaka śmielsi, bardziej się z modlitwą kwapią... Szczerzej doń mówią i naśladować probują... A wszak o toż chodzi! Czytałem księgi Orygenesa, wielkiego pisarza. Powiada on, że zadaniem Świętych śpieszyć nam, żywym, z ratunkiem. Że Święci zżerają kohorty złych duchów, jak wół zżera trawę pastwiska. Lecz Święci pośredniczą tylko wtedy, jeśli proszący kroczą ich śladami... Nic nie osiągnięcie — powiada — jeśli im dorównać nie usiłujecie...

KINGA. Dorównać Świętym!? Wasza Wielebność! Choćby człek duszę wypłakał pragnąc Świętym zostać, to nie podoła. Oni męczeństwo ponieśli dla miłości Pana...

PRANDOTA. Bywa, że żywot starczy za męczeństwo. Są Święci, których trud codzienny Kościół uznał za godny niebieskiej korony. Zresztą i my mamy swoich męczenników. Onże Wojciech... A Stanisław ze Szczepanowa, który został przy ołtarzu zarąbany? Nie poniósł śmierci za Kościół, czyli za Chrystusa?

KINGA (zamyślona). Prawda... Aż mi dziwno czasem, że o nim ze wszystkiem głucho...

PRANDOTA. Głucho z inakszej przyczyny. Stanisław ze Szczepanowa sojusznikiem był papieża i jego reformy... gregoriańskiej reformy. Reszta zaś duchowieństwa była reformom przeciwna. Szczególnie z racji celibatu księży. Nie chciano tego nakazu przyjąć... Gdyby oni duchowni zamordowanego Biskupa sławili, godziłoby się i zaleconą przez niego reformę przyjąć... Wolej zapomnieli o nim... Zapomnienie przychodzi łatwo...

OFKA (nieśmiało, ale żarliwie). Miłościwa Pani!

KINGA. Co chcesz?

OFKA (cofa się). Kiej nie śmiem...

KINGA. To nie przeszkadzaj.

PRANDOTA. Przysuńcie się bliżej komina, miłościwa pani. Zziębliście. Od sieni mrozem ciągnie.

KINGA. Ciepło mi.

PRANDOTA. Grzech zdrowie narażać. Kto będzie chorych nawiedzał, jeśli zasłabniecie?

JOLANTA (bardzo dziecinny głosik. Z dumą). Ja!

PRANDOTA (ubawiony). Oj, miły skrzatku, nie wiele ty zdziałasz...

KINGA (macierzyńsko). Ona wszędzie ze mną chodzi i pomaga...

PRANDOTA. Do trędowatych też?

KINGA. Wszędzie.

PRANDOTA (ciszej). Nie lękacie się?

KINGA. Bez woli Bożej włos jej z głowy nie spadnie.

PRANDOTA. Juści że tak, ależ to dziecko jeszcze...

KINGA. W tym troskliwszej pozostaje pieczy... (zmieniając temat). Powiedzcie, że cuda się działy przy grobie Stanisława ze Szczepanowa?

PRANDOTA (gorąco). Tak, Wasza Miłość. Zrazu ciało Stanisława pochowane było w przedsionku kościoła. Naprzeciwko mieszkała wdowa jedna, Świętosława. Ta wdowa prawi raz do kanonika: „Zawdy chcę dojrzeć, kiedy kościelny światło nad Stanisławem zapala i spostrzec nie mogę..." Kanonik się oburzył. „Jakie światło? Co ty pleciesz?". Ona, że co noc się pali. I inni ludzie poczęli zaręczać, że co noc światło widują. A tam ni świecy, ni lampki, ni nawet łuczywa nie było. Wtedy przeniesiono ciało do katedry, gdzie teraz spoczywa. Wiele jeszcze innych cudów jest zapisanych...

KINGA. Cuda są dowodem świętości.

PRANDOTA. Nie zawsze, Wasza Miłość. Ojciec święty Pius II pisał, że są walnym dowodem, ale nie wystarczającym. Bo cuda mogą się dziać nie przez zasługę zmarłego, jeno przez wiarę wyznawców...

JOLANTA. Kto Świętych ogłasza? Papież?

PRANDOTA. Juści nie kto nie inny. Wprzódy wiele jest zachodu. Trza zebrać wszystko, co wiadomo o onym świątobliwym człeku, dobre czy złe... świadków mieć... Jeśli dawno umarł, po zapiskach szukać... Cuda też wszelkie, pod przysięgą, że prawdziwe, spisać...

KINGA. Powiadaliście co ino, że cuda niewiele znaczą!

PRANDOTA. Znaczą wiele, jeno nie mogą zaświadczyć same... Życie a śmierć ważniejsze niż cuda... Wszystko zebrawszy, poselstwo należy pchnąć do Rzymu, Ojca św. pokornie prosić, by sprawę raczył rozpatrzeć. Wtedy czynią isty sąd...

JOLANTA. Sąd? Nad kim?!

PRANDOTA. Ano, nad owym zmarłym świątobliwym, o którego idzie rzecz. Kardynałowie sądzą. Jedni prawią, że godzien w ołtarzach stać, drudzy, opacznie, że takich Świętych w piekle widywano...

JOLANTA. Śmieliby tak oszkliwie gadać?! Za co?!

PRANDOTA. Tak trzeba, dziewuszko. Każdy swoje mówi, przez najcieńsze sito przelewa. Papież na złotym krześle siedzi i słucha. Kardynały w czerwieni, a on w białym obleczeniu i broda u niego siwa. Milczy. Ducha Świętego przyzywa, by mu doradził. Na koniec opowie się za jednymi czy drugimi. Jeśli przystanie, z pałacu Lateraneńskiego ogłosi całemu światu, że taki to Świętym jest, Patronem swojego kraju i w całym świecie chrześcijańskim ma odbierać cześć. Wtenczas posłowie w skok wracają z dobrą nowiną... Na ich spotkanie procesje wychodzą, w dzwony po parafiach biją, w kościołach ołtarze stroją, by wizerunek nowego Świętego w nich umieścić... Ludzie zewsząd się garną cisnąc, iż wielki mocarz przybywa ku ochronie... Z żalami, skargami śpieszą, by one żale Orędownik Bogu Najwyższemu przedstawił...

OFKA (nie mogąc wytrzymać z wrażenia). Laboga!

JOLANTA (wtórując jej). Cudnieć to, cudnie! (pauza) Dopiero od onej chwili Święty Świętym został?

PRANDOTA (oburzony). Bogać tam, dziewuszko. Papież rozpoznaje świętość, ale jej uczynić nie mocen. Zbawiony w chwale niebieskiej zasiada, chociażby ludzie o nim nie wiedzieli. Bóg o nim wie. Bóg go zna. Bóg widzi jego przyszłą świętość, jego wysiłki i mękę, jeszcze nim się ów człowiek narodził... Jeno póki Stolica Apostolska przyzwolenia nie da, któż zna, że takiego Patrona posiada? Któż się doń modli? Leży jego moc bezużytecznie, niby wory chleba poniechane na bezdrożu, o których głodni nie wiedzą...

OFKA (wyrywa się). Oj wiedzą!

KINGA (niecierpliwie). Co chcesz znowu?

OFKA (spłoszona). Upraszam łaski... Ja nic...

KINGA (do biskupa). Wielką moc mają Święci?

PRANDOTA. Święty Cyprian powiada, że wszystko u Boga wyproszą. Bóg nie odmawia ich prośbom. Oni zaś nie odmówią naszym. To opiekunowie nasi, bracia starsi... Domownicy Pańscy, gdy my jeszcze pielgrzymujemy w złej drodze...

KINGA (z westchnieniem). Dźwignęłoby kraj z obecnej niedoli?...

PRANDOTA. Wiera, co by dźwignęli. Mało to święty Bazyli pisze o łaskach otrzymanych za wstawiennictwem świętego Mamanta męczennika? Święty Grzegorz z Nazjanzu w każdej potrzebie wzywał świętego Cypriana. Św. Cyryl jerozolimski błagał świętego Teodora, by skrzyknął towarzyszy niebieskich i na ratunek śpieszył... Święty Efrem pisze, podobnie jak Orygenes: Zwycięstwo pewne, gdzie Święci pomagają. Lecz biada człowiekowi, gdyby się zaniedbał, licząc tylko na pomoc Świętych! Nic wówczas nie osiągnie, gdyż Pan, od którego wszelka łaska pochodzi, żąda, aby wysiłek był wspólny...

PACHOŁEK (wchodzi tupiąc niezdarnie i stukając drzwiami). Rycerz Falisław pilno proszą obaczyć Waszą Wielebność...

PRANDOTA (zdziwiony). Rycerz Falisław jest tutaj?

PACHOŁEK. Co ino przyjechał. Całkiem ośnieżony.

KINGA. Wezwijcie go. Niech się ogrzeje.

PRANDOTA (do pachołka). Przyprowadź go, chłopcze, duchem. (Chłopiec wychodzi) Co przygnało Falisława?

KINGA. Uchowaj, Boże, jakiej nowej biedy...

(Za drzwiami tupanie, otrzepywanie nóg ze śniegu. Wchodzi Falisław.)

FALISŁAW. Laudetur Jesus Christus!

KINGA, PRANDOTA. In saecula saeculorum.

FALISŁAW. Kłaniam się pokornie Waszym Miłościom.

KINGA. Witajcie w zdrowiu, rycerzu.

PRANDOTA. Z czym Bóg prowadzi? Zmarnieliście jakoś, Falisławie, odkąd was widziałem.

FALISŁAW. Chorzałem przez dwie niedziele. Dopierom dziś wstał.

PRANDOTA. Prosto z łoża na taki mróz!

FALISŁAW (objaśniająco). Przydarzyła mi się dziwna rzecz, z którą chciałem do Waszej Wielebności co szybciej...

KINGA (z pośpiechem). Ostawim was samych.

FALISŁAW. Raczcie pozostać, Miłościwa Pani. To nie spowiedź, jeno sen czy widzenie... Sam nie wiem...

PRANDOTA. Siądźcież przy ogniu i powiadajcie.

FALISŁAW (powoli, z namysłem). To było w środę po południu. Gorączkę miałem, ale wszystko pamiętam. Drzwi się otworzyły, wszedł do izby nieboszczyk biskup krakowski, Wisław...

PRANDOTA (przerywa). Mój poprzednik!?

FALISŁAW. Waszej Wielebności poprzednik, a mój wujec. Podszedł do łoża, chyli się nade mną, powiada: Idź do Prandoty, powiedz, niech dokona tego, com zaniedbał...

PRANDOTA. W gorączce różne zwidy człowieka nachodzą...

FALISŁAW. Podobnieć rzekła moja niewiasta, gdym jej widzenie powtórzył. Ano, na drugi dzień, o tej samej porze, widzę, że otwierają się dźwierze, wchodzi nieboszczyk mój wujec i znowu powiada: Idź do Prandoty, niech dokona tego, com zaniedbał...

PRANDOTA. Dziw... Dziw...

FALISŁAW (ciągnie) ...Trzeciego dnia, a to było wczoraj, opuściła mnie gorączka. Zasnąłem. Raptem budzi mnie ktosik. Nieboszczyk Wisław jak wprzódy stoi nade mną, srogo patrzy, znów powiada swoją rzecz: Idź do Prandoty, niech dokona tego, com zaniedbał. Tom się przeraził, bo przytomny byłem jako i teraz jestem, siadłem z rana w sanie, bo na konia jeszcze siły nie mam i przyjechałem, żeby Waszej Wielebności powtórzyć...

(pauza)

PRANDOTA (z przejęciem). Nic więcej nie mówił?

FALISŁAW (uroczyście). Na Święte Imię Jezusowe przysięgam, jako nic więcej nie powiedział i że nie zełgałem, ani słowa. Takie miałem widzenie, nie inaksze i taką mowę słyszałem, nie inną. Ninie, niech Wasze Miłości raczą mnie odpuścić, bom słaby i chciałbym wrócić najprędzej...

KINGA. Odpocznijcie krzynę...

FALISŁAW. Odpocznę doma, Miłościwa Pani. Kazał nieboszczyk powtórzyć, przyjechałem, powtórzyłem. Już chyba przestanie nachodzić... Niech będzie pochwalony...

KINGA, PRANDOTA. Na wieki wieków.

PRANDOTA. Bóg zapłać, rycerzu, za pospiech.

(Falisław wychodzi. Milczenie.)

KINGA. Wasza Wielebność zna o co chodzi?

PRANDOTA. Ani się domyślam, ani wiem... To jeno: w tym widzeniu jest znak...

KINGA (gorąco). Juści co znak niewątpliwy!

PRANDOTA. „Com zaniedbał, niech dokona"... Zaniedbał? Kanonikiem byłem przy nim długie lata, patrzyłem, nigdy niczego nie zaniedbał... Pierwszy był do służby Bożej. Głową mogę świadczyć jako gorliwszego trudno... Nabożeństwa pilnie odprawiał, jałmużny hojnie udzielał, pyszny nie był, dla wszystkich ludzki, sprawiedliwy, chorych nawiedzał, za więźniami się wstawiał, kościoły, dzwony fundował, nikomu nic dłużnym nie był, owszem, jemu ludzie zawdy byli winni, a on się nie upominał... Niczego nie zaniedbywał...

KINGA. Módlmy się, by Bóg Waszą Wielebność oświecił i pomógł odgadnąć...

PRANDOTA. Zaiste, tylko Bóg może oświecić... Zaniedbał? Co? Zgoda między książęty bardzo mu na sercu leżała.. Zabiegał o nią... Nic nie wskórał, bo trzeba na to mocy innej niż ludzka, lecz nie zaniedbał. Strażnice na granicy ruskiej okrutnie liche. Tym się frasował... Zdawna by je trzeba zaopatrzyć i podeprzeć, ależ to książęca powinność, nie biskupia... W głowę zachodzę... Tęgiego kmina zabił mu nieboszczyk Wisław... Zaniedbał... Biczowników nie lubił i płoszył to paskustwo jak mógł... Wciąż od Węgier przychodziły, alem ich przegonił... Kazałem pławić jak wiedźmy, kiedy by się pokazały... Już nie przychodzą. ...Więc nie o to... Litował się, że ubodzy w chorobie opieki nie mają... Nieraz ze mną o tym gadał... Sprowadziłem zakon Świętego Ducha de Saxia ku pielęgnowaniu chorych założony... Mają tu w Krakowie kościół i hospicjum, gdzie stu niemocnych pomieści.

...Wybaczcie, Miłościwa Pani, że tak głośno sam ze sobą gwarzę, ale szukam, szukam... Straszno pomyśleć, że się nie doszukam i zlecenia nie wypełnię... Co mógł zaniedbać? Ornaty i inne ochędóstwa kościelne zamurowano u św. Andrzeja czasu najazdu Mongołów. To ci zaniedbał, bo zostały tam ukryte, dopierom ja kazał je wyjąć, wysuszyć, z pleśni odczyścić. ...Po to by przychodził? Nie! Drobna to rzecz, a zmarli dla byle jakiej przyczyny nie wracają... Zresztą już to uczyniłem, więc nie o to... Gorze mi, bo nie wiem, czego by ode mnie chciał!

KINGA. Słusznie powiadacie, panie, że dla błahej przyczyny zmarli nie wracają... Musi to być ważna sprawa, nie kościelne ochędóstwa. Siedem lat minęło od śmierci biskupa Wisława. Nie przyszedł wcześniej, jeno teraz, gdy zewsząd walą się nieszczęścia na kraj, gdy przepełniona jest miara Bożego gniewu. Zali nie dla ratunku i pomocy?

PRANDOTA (zrozpaczony). Słuszna, słuszna, lecz jak go rozumieć? Nie mógł że jednego słowa dodać, jednego słóweczka, bym pojął, co mam uczynić? Zapomniał snać, że człek cielesny, to nie duch, każdą myśl czytający... Człowiekowi tępemu trza słowo po słowie wykładać, palcem wskazać, dopiero pochwyci...

JOLANTA (głośno, rezolutnie). A ja wiem, co nieboszczyk biskup chciał!

PRANDOTA (zdumiony). Ty, dziewuszko, ty?

KINGA (niezadowolona). A cichajże, sroczko, cichaj, wstydu nie masz wyrywać się z paplaniem... Wiela możesz wiedzieć?

JOLANTA (j. w.). Siostro, ja naprawdę wiem...

KINGA (surowo). Cichaj, rzekłam. Głupoty jakieś wymyślasz.

JOLANTA (błagalnie). Siostro...

PRANDOTA. Zwólcie jej mówić, Miłościwa Pani, niech powie co umyśliła...

KINGA. Gadaj, skoro Jego Wielebność pozwala...

JOLANTA (uroczyście, dobitnie). Nieboszczyk biskup zaniedbał prosić Ojca św., by Stanisława ze Szczepanowa Świętym ogłosił i to ma Wasza Wielebność dokonać!

(milczenie)

PRANDOTA (osłupiały). Na Chrystusowe rany! Dziecko prawdę gada!

KINGA. I mnie się zda, że prawdę odgadła...

PRANDOTA. A my się głowili. Boguż składajmy dzięki!

KINGA. Siostrzyczko, skąd ci to przyszło?

JOLANTA. Tak mi się czegoś wydało...

PRANDOTA (z zapałem). Niech cię, dziewuszko, anieli żywą do nieba zaniosą za to, coś nam ukazała! Iście, nie po co insze Wisław trzy razy przychodził, jeno po to... On zaniedbał, jam zaniedbał... Biadałem, że źle się dzieje, nie szukając pomocy, gdzie trzeba... Patrona możemy mieć, orędownika, co nasze troski podzieli... Gdzie my nie poradzim, on poradzi... Państwo uratuje... Pomnę, że dzieckiem będąc, słyszałem gadkę, iż jak się zrosły cudownie zrąbane członki Stanisława, tak zrośnie się nazad za jego sprawą korona... Słyszałem i zapomniałem....

OFKA (wybucha). Laboga, laboga, ja nie śmiem, Wasze Wielmożności wybaczą... Strasznie się ludzie ucieszą... Bo wszyscy Stanisława miłują... Powiadał Wielmożny Biskup, że o nim zapomniano... Zaś by tam! Każdy pamięta... Ojca by raniej zapomniał... Jakże zobaczyć, kiedy wszystko u niego uproszą... Dobrodziej nasz... Czy komu dziecko choruje, czy na bydło zaraza, do jego grobu chodzą modlą si... Zawdy wysłucha...

PRANDOTA (zdumiony). Nie wiedziałem o tym...

KINGA (ze wstydem). Ja też nie...

OFKA. Bo Wielmożni Księża nic nie gadali, to ludzie nie wiedzą, czy wolno Cichcem chodzą, kiedy nabożeństwa nie ma... Upraszam łaski Waszych Wielmożności...

PRANDOTA. Mniemałem, że człowiekowi palcem trza wskazać, słowo za słowem tłumaczyć, a ot widzę, że i tego mało... Ślepy chodzi po świecie, nic nie spostrzegając... Myśli, że uczony, bo księgi czyta, a błądzi po ćmaku. ...Aż zmarły wróci, dziecko wyłoży, prostaczek wyjawi, dopiero się ocknie, obaczy, że najważniejsze przeoczył... Boże Wszechmogący! Wielki dzień dzisiaj! Szczęsny dzień! Miłościwa Pani, niemała praca nas czeka... Nie odmawiajcie mi swojej porady... Poselstwo musim przygotować, opisy, świadectwa... Kogo za posła wziąć?

KINGA (z namysłem). Jakub ze Skrzeszewa godny rycerz...

PRANDOTA (już pochłonięty realizacją zadania). Z Jakubem kanonik Goćwin, człek rozumny i bywały... Ci dwaj... Grosza wypadnie dać sporo.. Skąd weźmiem?... W skarbcu katedralnym pustki, w książęcym także...

KINGA. Mam jeszcze parę klejnotów.

OFKA. Upraszam znów łaski Waszych Wielmożności... Ino Wielmożny Biskup ogłosi, że na ołtarze dla Stanisława potrzeba pieniędzy, nie znajdzie się taki, co by grosza pożałował... Od ust sobie odejmie, a da... Toć to dla dobrodzieja naszego... A cieszyć się będą, że reta!

PRANDOTA (uradowany, wzruszony). Chodźmyż do kaplicy podziękować Panu...

Zofia Kossak

PIUS XII A POLSKA

Dzieł poświęconych osobie i działalności obecnego Papieża Piusa XII jest już pokaźna liczba. Wśród nich są: monografie, obrazujące głównie jego pokojową działalność, zbiory dokumentów (przemówienia, listy, encykliki) oraz pamiętniki osób, które przebywały dłuższy czas w Watykanie, a były świadkami jego działalności. Autorowie prac poświadczają zgodnie, jak niestrudzonym był Ojciec św. w latach drugiej wojny światowej w swych zabiegach o utrzymanie i przywrócenie pokoju i jak rozległa była działalność Watykanu w niesieniu pomocy ofiarom wojny i narodom uciśnionym przez najazd niemiecki.

W ich liczbie najbardziej chyba doświadczonym był naród polski, prześladowany z powodów narodowych i religijnych i to przez dwóch naraz okupantów: niemieckiego i rosyjskiego. Toteż był on przedmiotem stałej i głębokiej troski Piusa XII. Jego wypowiedzi, przemówienia i listy z okresu 1939-1949 zebrał i wydał w formie sporej książki nasz ambasador przy Watykanie, Kazimierz Papée.*)

Na treść tej książki składają się: 1) przemówienia Papieża do Polaków z okazji audiencji publicznych, udzielanych w Watykanie, 2) listy i telegramy papieskie do przedstawicieli władz polskich na obczyźnie oraz odpowiedzi na otrzymane od nich analogiczne pisma, 3) listy Papieża do biskupów polskich, najliczniejsze w tym zbiorze, 4) różnego rodzaju okolicznościowe wypowiedzi Papieża oraz pisma wyjaśniające jego politykę w sprawie Polski, 5) pisma, listy i telegramy władz polskich, cywilnych i wojskowych na emigracji, wysyłane w różnych okolicznościach do Papieża.

Wymienione powyżej dokumenty, w liczbie 60, należą do dwóch okresów dziesięciolecia 1939-1949. W pierwszym okresie (od jesieni 1939 do początków 1945) Polska była pod okupacją niemiecko-rosyjską, działającą zgodnie i dość jednolicie. Wieści, jakie nadchodziły z jej terenów, świadczyły o ucisku narodowościowym i religijnym; temu ostatniemu szczególnie próbował się niejednokrotnie Papież przeciwstawić przez swego nuncjusza w Berlinie (o czym w omawianej książce wspomniano tylko ubocznie) — jednak bez skutku.

Siła głosu i zasięg starań Papieża w obronie Polski w okresie 1939-1944 leży jednak nie w tych, czysto dyplomatycznych démarches, prowadzonych za kulisami wydarzeń, ale w jego wypowiedziach publicznych i listach, docierających do wiernych w Polsce i do całego chrześcijańskiego Zachodu, przeciwstawiającego się połączonej niemiecko-rosyjskiej agresji. Wypowiedzi te wypełniają przeważną część wydawnictwa amb. Papée'go.

Studiując je widzimy jak często Polska była ich przedmiotem. Czasami są one ostrożne, liczące się z geopolitycznym położeniem Watykanu, częściej jednak głos Papieża wznosi się ponad te warunki i potępia wyraźnie tych, co naszemu krajowi przynieśli ucisk i niewolę i to w okresie ich największych sukcesów militarnych i politycznych.

Charakterystyczne dla tego typu wypowiedzi jest przemówienie Papieża, wygłoszone w dniu 2 czerwca 1943 r. do Świętego Kolegium: „...Nie zapominamy o żadnym z narodów cierpiących. Przeciwnie, z ojcowskim współczuciem i miłością pamiętamy o wszystkich razem i o każdym z osobna. W tej chwili jednak zwracamy naszą uwagę szczególnie na tragiczny los narodu polskiego. Naród ten, otoczony potężnymi państwami, podlega losom i zmiennym kolejom huraganowego dramatu wojny. Nasze nauki i Nasze słowa, tylekroć powtarzane, nie pozostawiają żadnych wątpliwości co do zasad, według których sumienie chrześcijańskie ma osądzić podobne czyny, bez względu na to, kto za nie okaże się odpowiedzialnym. Kto zna dzieje Europy chrześcijańskiej, ten wie i nie może zapomnieć, jak wiele święci i bohaterowie Polski, polscy uczeni i myśliciele wnieśli do duchowego skarbca Europy i świata i jak bardzo przyczynił się do rozwoju i zachowania chrześcijańskiej Europy prosty i wierny lud polski przez wieki milczącego bohaterstwa w cierpieniu."

Ta sama nuta głębokiej wiary w naród polski przebija jeszcze wyraźniej we wcześniejszym nieco od cytowanego przemówienia liście Papieża do kardynała Augusta Hlonda (z dnia 30 maja 1942): „...Znamy dokładnie i boleśnie przeżywamy obecne opłakane położenie Polski, dotkniętej tylu okropnymi nieszczęściami, a znoszącej niesłusznie wszelkiego rodzaju krzywdy i prześladowania. Atoli dzieje Narodu Polskiego wykazują niezbicie, że nawet wśród najboleśniejszych doświadczeń Polacy się nie załamali. Owszem, ratując poprzez najburzliwsze okresy nieskazitelny skarb wiary katolickiej i żywe przywiązanie do wiary praojców, rośli w nowe, coraz potężniejsze siły, dzięki którym dźwigali się z katastrofy, by się wsławić jeszcze świetniejszymi czynami bohaterskimi i pomnikami chwały."

Sytuacja polityczna Watykanu uległa radykalnej zmianie na lepsze latem 1944, gdy wojska alianckie zajęły Włochy. Przy ich boku znalazła się również i armia polska. Zmiana ta jednak nie dotyczyła Polski: w ślad za ustępującymi oddziałami niemieckimi zaczęła zajmować kraj armia rosyjska. Powstanie warszawskie upadło, a wkrótce potem żołnierze polscy z Włoch, zamiast wrócić do kraju, musieli się udać na emigrację. Komplikacji uległy dalsze stosunki Watykanu z Polską. Papież uznawał nadal rząd polski na emigracji, równocześnie jednak znalazła się w Rzymie ambasada narzuconego Polsce rządu i rozpoczęła swą działalność. Sytuacja Kościoła w Polsce uległa wprawdzie poprawie w porównaniu do czasów okupacji niemieckiej, nie w takiej jednak mierze, jakby tego oczekiwano, zwłaszcza, że narzucony przez Rosję reżym zerwał konkordat i utrudnił Papieżowi kontakty z Episkopatem.

Wyrazem tych przemian i nowych trosk o losy Kościoła w Polsce są listy i przemówienia Papieża z okresu 1945-1949. Liczne zwłaszcza są listy, zarówno do poszczególnych biskupów, jak i do całego Episkopatu.

Przejawia się w nich stale szczere uznanie dla jego pracy wśród wiernych w okresie okupacji niemieckiej oraz wiara, że i w nowych warunkach praca ta będzie nadal owocna. Najcharakterystyczniejszym dla tego okresu jest list Papieża do kardynała Sapiehy (z dnia 1 września 1949), reasumujący jego stanowisko wobec Polski w okresie wojny: „...W miarę sił wspomagaliśmy wszelką pomocą i datkiem waszych uchodźców, wygnańców, jeńców przebywających poza granicami ojczyzny. Nic żeśmy nie opuścili, nic nie pozostało bez próby, choć nieraz bezskutecznej, by równie w okupowanej przez wrogów waszej ojczyźnie złagodzić stosunek do religii i by ulżyć warunki waszego bytowania. Nieraz wołaliśmy o krzywdy wyrządzone Bogu, Kościołowi i prawom dusz, wytykaliśmy zuchwałe gwałcenie tego, co jest nakazane lub zakazane przez poczucie słuszności; niewinnych i bezbronnych usiłowaliśmy bronić. Nie można przemilczeć, że te wysiłki, częściowo lub całkowicie nieznane Polakom, wskutek chytrych zabiegów okupanta, szły w parze z żywą działalnością i staraniem waszego kleru."

Jak wspomniałem, zbiór wydany przez amb. Papée obejmuje w całości 60 dokumentów z okresu 1939 - 1949. Gdyby to było wszystko, byłoby niezbyt wiele. Tak jednak nie jest, jak mówi sam wydawca we wstępie, pełny zbiór dokumentów, obrazujący historię stosunków Stolicy Apostolskiej i Polski w okresie 1939-1949 byłby o wiele większy, gdyby istniała możność wydania ich w całości. Plan takiego zbioru nakreślił sam wydawca, należy więc tylko życzyć sobie, by mógł on kiedyś być zrealizowany.

Oczywiście, to nowe wydanie musiałoby być opracowane nieco inaczej. Teksty w oryginale (z ewentualnym przekładem na język polski), z podaniem ich pochodzenia i odpowiednio opracowanym nagłówkiem. No i oczywiście do tego wzorowo opracowany indeks osobowy i rzeczowy, niezbędny przy każdym naukowym zbiorze dokumentów.

J. Jasnowski

*) **PIUS XII A POLSKA 1939-1949. PRZEMÓWIENIA, LISTY, KOMENTARZE. Opracował Kazimierz Papée. Rzym 1954. Editrice Studium. Stron 178, 8 ilustracji.**

ZYGMUNT TURKIEWICZ

CÉZANNE

Sześćdziesiąt pięć obrazów olejnych Cézanne'a wystawionych niedawno w Tate Gallery było wydarzeniem pierwszorzędnej wagi. Pomijając to, że eksponaty zebrane z różnych krajów obu półkul, i to zarówno ze zbiorów prywatnych, jak też i z dobrze znanych galerii światowych, jak np. The Metropolitan Museum w Nowym Jorku lub Art Institute w Chicago, były dostępne do oglądania w tym zestawieniu zapewne po raz pierwszy, to sam fakt, że można było obejrzeć w parę godzin aż tyle obrazów Cézanne'a, powitany został przez miłośników sztuki z entuzjazmem. Dopiero zebrane razem obrazy tego malarza dają pojęcie o olbrzymim jego wysiłku i dopiero oglądane w masie dają wyobrażenie o geniuszu Cézanne'a.



Autoportret

Chyba o żadnym z malarzy nie mówi się i nie pisze tyle, co o Cézanne'ie. Wszyscy zgodnie podnoszą jego olbrzymie dokonania w malarstwie. Mówi się, że z sugestii Cézanne'owskiej wywodzi się cała — bez reszty — sztuka XX wieku: kubizm, abstrakcjonizm, fauwizm itd., a jednak mimo tych często powtarzanych powiedzeń, sztuka Cézanne'a jest ciągle jeszcze tylko dla wybranych, a dla większości pozostaje ona „łamigłówką". Przekonałem się o tym na omawianej wystawie, na którą wybrałem się z moimi przyjaciółmi, którzy oficjalnie studiują sztukę. Otóż obserwując zachowanie się moich towarzyszy spostrzegłem, że wielkie malarstwo Cézanne'a nie dociera do ich świadomości, co więcej, ci młodzi ludzie wydawali się wprost lekceważyć te osiągnięcia i pracę człowieka, twórczą w najistotniejszym tego słowa znaczeniu, czystą i głęboką i zmierzającą do pełnej sztuki, opartej na solidnym studiowaniu natury i klasycznym zmyśle kompozycji.

Dzieło Cézanne'a, które dało początek wielu kierunkom malarskim XX wieku, wydaje się być dzisiaj lekceważone przez tych, którzy drogą bardzo pośrednią zdołali przyswoić sobie z tego dzieła jedynie ułamkową jego cząstkę. Prawdą jest, że malarstwo Cézanne'a nie jest efektowne, jest ono raczej z powodu swej dyscypliny, może zbyt ascetyczne, ale w tym właśnie tkwi wielkość sztuki Cézanne'a.

Jeżeli ktoś nigdy nie przeżywał entuzjazmu czy zachwytu na widok płócien Cézanne'a, ten na pewno nie wie nic o jego sztuce, choćby umiał na pamięć cały jego życiorys i wszystkie jego sławne wypowiedzi na temat malarstwa.

Doznanie zachwytu czy swoistej radości na widok dobrego obrazu nie jest, oczywiście, zjawiskiem powszechnym i trzeba albo samemu tkwić w zagadnieniach malarskich, to znaczy być wrażliwym na kolor i rytmy form i starać się ustalać ich wzajemne stosunki, lub oglądać dzieło sztuki nie od jego strony anegdotycznej czy doznań natury literackiej, lecz od strony postawienia problemu malarskiego w obrazie, od której to sprawy każdy dobry obraz powinien się zaczynać.

Nigdy chyba nie uwydatniła się bardziej wielkość Cézanne'a jak właśnie dzisiaj, gdy tylu malarzy zadawala się i poprzestaje na spekulacjach intelektualnych nadużywając hasła „wolności" interpretowania zjawisk, jak też środków malarskich, możliwości kompozycyjnych i zadawalając się często jedynie piękną fakturką, która jest dla nich powodem malarskim.

Co uderza w obrazach Cézanne'a przede wszystkim, to nadzwyczajna pokora, uwaga i pilność, z jaką artysta przygląda się naturze utrwalając swoje wrażenia na płótnie. Rzuca się to w oczy zwłaszcza wówczas, gdy na wystawę dochodzimy poprzez sale z obrazami malarzy po-cézanne'owskich.

Owe doszukiwanie się formy drzewa na tle nieba czy żółtawej ścieżki wijącej się w zieleni trawnika albo formy czarnego beretu na własnej głowie — są godne podziwu.

Malarstwo Cézanne'a w swojej wczesnej fazie, powiedzmy około roku 1872, jest jeszcze jakby uśpione. Widać w nim wszakże opanowanie materiału farby i wyczuwa się olbrzymi temperament malarski. Z tego czasu mniej więcej pochodzący obraz „L'Enlèvement" — z kolekcji Lady Keynes — posiada jeszcze dużo wpływów sztuki Delacroix, który pociągnął Cézanne'a kolorystyką i zapewne bogactwem treści romantycznej. Drugi z tego okresu obraz na tej wystawie, to „Kuszenie św. Antoniego". Cézanne uległ tu anegdocie, którą zresztą przeprowadził bardzo pięknie, ale z obrazu tego trudno jeszcze przewidzieć drogę przyszłego Cézanne'a. Chyba datę 1877 można uważać za przełomową w jego twórczości. Jest to czas, kiedy malował dr. Chocqueta (małych rozmiarów płótno z centralnie umieszczoną siedzącą postacią portretowanego), martwą naturę z dzbankiem na mleko i siedem jabłek ustawionych w dwuszeregu na stole.

W tym czasie przestał wystawiać z impresjonistami, zaniechał dyskusji z nimi po kawiarniach, oddawszy się wyłącznie swemu malarstwu. Od tej pory możemy śledzić stały rozwój i pogłębianie problemów, jakie sobie postawił i od których już nigdy nie odstąpił. Widzimy, jak każdy rok przybliża jego sztukę do coraz to większej czystości elementów malarskich, takich jak kolor, rytmy, równowaga mas, a jednocześnie elementy realistyczne stopniowo się w jego płótnach zatracają. Żyjąc z naturą, z formami i kolorami, światłami i cieniami, zespalał się z nią coraz intensywniej. Rezultatem tego współżycia są obrazy, które im później były malowane, tym bardziej są wyzwolone z kształtów realnych, ale za to działają jak drogie kamienie lub perły ułożone na płótnie w zespoły rytmiczne, będące dokumentami zespolenia się tajemnic natury z wyobraźnią Cézanne'a.

Życie upływało mu na malowaniu konsekwentnym i widzimy, że w ostatnich latach twórczości w licznych studiach portretowych, w martwych naturach i pejzażach (zwłaszcza najpóźniejszych) przejrzystość metody malowania może najbardziej odkrywa nam jego tajemnicę widzenia i odrealizowania świata widzialnego.

To wielkie dzieło, jakiego dokonał, wydaje się być ciągle jeszcze poza naszą miarą. Krytycy i wykładowcy często upraszczają to tak bardzo złożone zagadnienie, jakim jest twórczość Cézanne'a, chociażby dlatego, że każda definicja zubaża samą istotę rzeczy.

Na czym polega nowość w malarstwie Cézanne'a? Musimy pamiętać o tym (bardzo sprawę upraszczając), że wrażeniowe malarstwo impresjonistów, naśladujące na kawałku płótna blask słońca i wibrację powietrza, ugrzęzło w absurdalnym realiźmie. Cézanne zatrzymał malarstwo złudzeniowe swoją sztuką konstruktywną. Stworzył on mianowicie, poza nadzwyczajną dbałością o kompozycję wszystkich



Zakręt drogi

elementów, z których malarz buduje swój obraz, pojęcie nowej przestrzeni na płótnie, wprowadzając dwa plany. Jeden — na powierzchni płótna, a drugi — równoległy do niej i cofnięty w głąb. Przestrzeń tak stworzoną wypełniał przy pomocy modulacji koloru (a nie modelunku formy, jak to czynili tacy malarze, jak Delacroix czy Courbet).

Plany, które wykrywał w naturze, jak sam mówił: „najeżdżają mu jedne na drugie". Metoda ta wynikła więc sama poprzez kontakt z naturą.

Obrazy Cézanne'a, oglądane na tej wystawie, tak świeże i tak technicznie pięknie malowane, że aż trudno uwierzyć, że są rezultatem długich i żmudnych poszukiwań każdej plamy koloru i każdego rytmu. Dziesiątki razy artysta zmywał czy zdrapywał z płótna źle wyszukany kolor i nigdy nie zaakceptował fałszywego akcentu czy rytmu. Ta nadzwyczajna sumienność w patrzeniu na naturę i jej przedstawienie doprowadziły go właśnie do zupełnie nowej postawy wobec natury i płótna. Pracując nad tym, aby wyrazić barwę jak najwierniej i jak najskrupulatniej każdy skrawek widzianego świata, odkrył on nowe związki pomiędzy elementami swej obserwacji. Zauważył np., że dzbanek, zwrócony do światła, swą formą wypukłą jest jako kolorowe zjawisko czymś innym w świetle, czymś innym zaś w cieniu i półcieniu. Biała draperia stykająca się swą bielą z rudością naczynia, staje się jego towarzyszem i wchodzi z nim w związek barwny, we współżycie, ale ta sama biel serwety odniesie się już zupełnie inaczej do zielonego owocu leżącego obok. W ten sposób dzbanek traci swoją materialność a serweta swoją jedność.

Przedmioty zatracają swą przedmiotowość i, zależnie od naświetlania koloru i kształtu wiążą się swymi częściami, wchodzą w stosunek z fragmentami innych przedmiotów — stąd owa dematerializacja, która zjawia się w płótnach Cézanne'a. To wielkie odkrycie dematerializacji przedmiotów jest (przynajmniej dla ludzi sztuki) zupełnie naturalne dzisiaj, lecz szukanie owej barwnej rzeczywistości przeprowadzał Cézanne z wysiłkiem i uporem wprost nadludzkim. Znane jest opowiadanie Vollarda, jak to pozując siedemdziesiąty któryś raz Cézanne'owi do portretu, usłyszał od malarza: „Nareszcie ton białego gorsu został postawiony".

Należy jeszcze zwrócić uwagę na fakt, że Cézanne studiując naturę bynajmniej nie kopiuje jej powierzchownie, jak to np. czynili Courbet lub impresjoniści. Cézanne jak gdyby kondensuje naturę, zbiera jej elementy i przedstawia nagromadzone na niewielkiej przestrzeni płótna. Czyni to w tym celu, aby lepiej ujawnić dramat natury. Robi to przy tym tak, jak nikt inny przed nim. Mawiał o sobie: „Kiedy maluję drzewo, niebo czy dom, staram się patrzeć na nie, jakbym je oglądał po raz pierwszy w życiu".

Co najbardziej imponuje w obrazach Cézanne'a, to ich nadzwyczajna solidność i powaga, które naprożno doszukiwalibyśmy się u współczesnych mu malarzy. Każda plama kolorowa w jego obrazie jest doprowadzona do pełni brzmienia. Wodząc wzrokiem po powierzchni jego płócien doznaje się wrażenia dziwnej logiki, która tutaj panuje. Wzrok nigdy nie zapada się w próżnię ani też nie zostaje odepchnięty zgrzytem nietrafionego tonu, który wyrywałby się z tego rytmu przestrzennego, odkrywającego barwną codzienność. Cézanne z najprzeciętniejszej rzeczy potrafi wydobyć poezję koloru, która uderza nas swoją autentyczną oryginalnością.

Wszystko, na co Cézanne patrzy, sprowadza się do koloru. Notując światła tonem ciepłym a cienie zimnym lub na odwrot, stwarza grę barwną tak nieuchwytną, że wyczuwamy tylko absolutną prawdę każdego dotknięcia pędzla, nie imitującego natury.

Powodem powstania tych dźwięcznych tonów w obrazach Cézanne'a raz będzie aksamitna czerń wilgotnego pnia drzewa na tle zieleni soczystych liści, to znów czaro-błękitna ściana domu na wyszarzałej żółci pola, czy ruda skała porysowana smugami granatowych rytmicznych cieni.

To źródło form i kolorów, jakim dla Cézanne'a jest natura, chroni jego malarstwo od banału i nudy, co grozi niestety płótnom wielu malarzy współczesnych, których teorie mogą się pokrywać w słowach z wielkim Cézanne'm, lecz którym brakuje przenikliwości obserwacji i którzy dlatego nie wzbogacają swoich form, nawet czysto geometrycznych, których w naturze jest bez liku, lecz powtarzają kilka dobrze znanych i jakże już opatrzonych.

„Le Chateau Noir", obraz umieszczony w ostatniej sali wystawy, ilustruje to zagadnienie najlepiej. Naprożno szukalibyśmy w nim jakichś przedmiotów malowanych — zamiast tego mamy tutaj świat kolorowych form, równie bogaty i cudowny, jak żywe drzewa i wyłaniające się z zieleni kształty zamczyska oraz ruch chmur na niebie. Plamy kolorowe, uformowane na tym obrazie są czymś pośrednim między śladami kiści pędzla, jakim się malarz posługiwał i kształtem, który go w tym wypadku zainteresował. Jakież bogactwo mniejszych i większych barwnych form odnajdziemy na tym płótnie, z których każde oglądane z osobna przedstawia formy jak najbardziej abstrakcyjne, ale suma ich zawiera ducha, który ożywia obrazy Cézanne'a.

—*—

O Cézanne'ie krąży legenda, przedstawiająca go jako samotnika i mizantropa, zaszytego w prowincjonalnym miasteczku w Aix-en-Provence, wypracowującego tam swój światoburczy system malowania. Nie jest to zgodne z prawdą.

Urodzony w styczniu 1839 r. w Aix, spędził tam dzieciństwo i wczesną młodość. Tam też uczęszczał do szkół i zaprzyjaźnił się z młodym Zolą i Baillem. W liście do Zoli Baille pisał o 19-letnim Cézanne'ie: „...Ten poetyczny, fantastyczny, jowialny, erotyczny, antyczny, fizyczny, geometryczny nasz przyjaciel". Czyż trzeba bardziej wyczerpującej charakterystyki młodego Cézanne'a niż te dobrane w pewnej kolejności przez Baille'a przymiotniki? Każda z przytoczonych tutaj cech odezwie się później w malarstwie Cézanne'a.

Cézanne, zanim zdecydował się być malarzem, studiował prawo w rodzinnym Aix przez dwa z górą lata. Rzuciwszy studia prawnicze, w roku 1861 pojechał do Paryża, poznał tam i zaprzyjaźnił się z Pissarro'em. Szanował go bardzo jako malarza, a nawet kopiował. Wrócił jednak do Aix i pracował w banku swego ojca. W 1862 roku rzucił ostatecznie pracę w banku, aby na serio zająć się malarstwem. W roku 1866 próbował wystawiać w „Salonie" w Paryżu, ale prace jego odrzucono. W roku 1874 wystawia po raz pierwszy z impresjonistami. Publiczność wyśmiewa jego malarstwo. Cézanne reaguje na to słowami: „Zaczynam czuć się silniejszy niż wszyscy wokół mnie". W roku 1885 — po długich tarapatach — Cézanne poślubił Hortensję Fiquet, a w rok później zmarł jego ojciec pozostawiwszy mu znaczny spadek. W tymże roku kończy się przyjaźń z Zolą, który opublikował L'oeuvre. Następne lata upływają Cézanne'owi między Aix i Paryżem. Po tym czasie wiele podróżuje z jednej okolicy Francji do drugiej a także wyjeżdża do Szwajcarii.

W r. 1895, za doradą Pissarra, Vollard zorganizował wystawę prac Cézanne'a, na którą artysta przysłał 150 płócien.

W roku 1900 Cézanne osiadł „na stałe", na ostatnich sześć lat życia, w Aix. W roku 1903 zanotował: „Pracuję wytrwale, ponieważ widzę ziemię obiecaną", zaś w trzy lata później pisał do przyjaciela: „Jestem stary i chory, lecz postanowiłem nie przerywać pracy, bo chcę umrzeć z paletą w ręku". Jakoż tego roku, 22 października, gdy wracał z pejzażu do domu, złapała go burza. Raptownie zasłabł i skonał.

—*—

Gdybyśmy więcej obcowali z malarstwem Cézanne'a, a nie z teoriami krążącymi wśród malarzy a wysnutymi z jego sztuki, to wydaje się, że malarstwo dzisiejsze mogłoby mieć zupełnie inne oblicze.

Zygmunt Turkiewicz

ZOFIA ROMANOWICZOWA

ZŁOTE WYSPY

Było ich siedmiu, cyfra kabalistyczna. Zebrali się dwudziestego pierwszego maja, w dniu, kiedy po prowansalskich kalendarzach widnieje uroczystość świętej Estelli, czyli Gwiazdy. Nic też dziwnego, że za godło przyjęli gwiazdę o siedmiu promieniach. Można sobie wyobrazić, ile nadrodańskiego wina polało się z okazji tych dwóch szczęśliwych zbiegów okoliczności w majowym Font-Ségugne, owej siedmiopromiennej, sto lat temu, majowej niedzieli.

Młodzi Filomaci Prowancji, między jednym toastem a drugim zapadli w medytację, jakby tu ochrzcić nowo rodzący się ruch, jakie by nadać mu miano, będące równie dobrym znakiem na przyszłość. — Wiem już — wykrzyknął jeden z nich, wtedy jeszcze po prostu „Frederi", podobnie jak na majówkach podwileńskich Mickiewicz, pośród Filomatów grona, był po prostu Adamem. — Będziemy nazywali się Felibrami. Bo w starej kantyczce o siedmiu Boleściach Matki Boskiej jest mowa o „siedmiu Felibrach Prawa".

Entuzjastycznie podnieśli w górę szklanice Giéra, Roumanille, Aubanel, Matthieu, Brunet, Tavan i on — Frederi Mistral, projektodawca. Nazwa została przyjęta jednogłośnie. Narodził się Felibrige.

Po latach zrzędni autorzy przedmów i filologicznych opracowań dowiodą, że nazwa Felibrów opiera się na nieporozumieniu, a raczej na wadliwym odczytaniu tekstu. W starej kantyczce prowansalskiej o Siedmiu Boleściach nie ma śladu z „Sept Felibres de la Loi", jest tylko „Sepher libre de la Loi", to znaczy „Sepher Księga Prawa". Ale już słowo „Felibre" stało się ciałem, zapatronowało tylu zjazdom, akademiom i toastom (zawsze to słodkie wino Prowancji), przypieczętowało tyle tomików poezji, nowej poezji, zaszczepionej na starodawnym pniu narzecza, które wydało trubadurów, że nie potrzeba mu żadnych konsekracji źródłowych. Felibrige, który w tym roku święci stulecie swego istnienia, wyłoniwszy z siebie poetów takiej miary, jak Mistral czy Aubanel, jest zjawiskiem literackim, które przekroczyło granice swojej prowincji.

Znamienna i charakterystyczna to rzecz dla odradzającej się na początku dziewiętnastowiecza poezji prowansalskiej, owo oglądanie się w przeszłość, nawiązywanie do chwalebnej a przebrzmiałej tradycji, kiedy prowansalska lira pierwsza odezwała się w Europie i śpiewała od Sycylii po Północne Morze. Niestety, teksty autentyczne trubadurów, w momencie, kiedy wzniesiono historyczny toast w Font-Ségugne, były jeszcze mało znane i wcale nie opracowane. Stąd pomyłki i stąd potknięcia. Stąd Jan Nostradamus, ze słynnej rodziny bałamutnych historyków i niemniej bałamutnych astrologów, jest im często źródłem i autorytetem. Jemu zapewne zawdzięczamy tytuł pięknego zbioru poezji Mistrala **„Lis Isclo d'Or"** „Złote wyspy", którym pragnęłabym się posłużyć jako pretekstem do paru słów o poezji, a właściwie o wersyfikacji Mistrala.

Nostradamus, na poparcie swoich dowolnych życiorysów i fantazyjnych rodowodów cytuje wiele rzekomych źródeł i nazwisk autorów, wśród których figuruje także tajemniczy Mnich ze Złotych Wysp. Mowa o małym archipelagu d'Hyères, w departamencie Var, słynnym z piękności i słodyczy klimatu. Wątpliwe, czy „Mnich" ten istniał kiedykolwiek, tak jak owi Felibrzy z kantyczki. Ale czy to ważne dla poezji i legendy? W każdym razie w procesji sławnych duchów, którym Mistral, w jednym z poematów tego zbiorku, każe nawiedzać ruiny zamku w Romanin, zaraz obok Peire Vidala i Petrarkowej Laury kroczy Mnich ze Złotych Wysp, wygłaszając sentencję: **„Remembras-vous que la vido èro un sounge"** — pomnij, że życie było snem.

„Złote wyspy" Mistrala są antologią snów ziemi prowansalskiej, jej legend i podań, jej historii, rozmaitych przejawów jej piękna. Są one także — i to przede wszystkim — antologią piękna mowy prowansalskiej oraz talentu Mistrala.

Język trubadurów, owo przez parę wieków **koine** liryczne pobrzeży Morza Śródziemnego, był narzeczem wyrafinowanej cywilizacji. Po wielkiej klęsce politycznej Południa, rozpadając się na coraz drobniejsze dialekty, język „d'Oc" spadł do rzędu rubasznej gwary, właściwie tylko mówionej, bo czyż się liczyły rozmaite almanachy i kalendarze regionalne? Zdawało się, że nadaje się tylko do grubych żartów i pieśni ludowych, do parodii i krotochwil, ale nigdy do „szlachetnej" poezji. Takie było zdanie jeszcze Ludwika Aubanela, nadwornego księgarza Jego Papieskiej Świątobliwości (zaszczytny przywilej przechodzący w rodzinie z ojca na syna jeszcze od awiniońskich czasów papiestwa), rodzonego ojca Teodora, tegoż znanego nam już spod znaku świętej Estelli. Gdyby nawet nie było całego dzieła Felibrige'u, ogromnej reformy artystycznej i językowej, jakiej dokonali, ich wielkiego dorobku literackiego, sam tylko jeden tomik „Złotych wysp" wystarczyłby, żeby zadać kłam temu zastarzałemu przesądowi.

Język prowansalski okazuje się w nim cudownym poetyckim surowcem, pełnym bogatych możliwości, dźwięcznym, realistycznym, wyrazistym, bezpośrednim, kontrastowo odmiennym od francuskiego, nieco chłodnego, przeintelektualizowanego, ujętego w karby sztucznych reguł. Dźwięk, imię, ciasno w nim przylega do idei. Asonanse i aliteracje same się cisną wokół tematu. Kwestia rozziewu-hiatusu, o którą tyle atramentowej krwi przelali gramatycy i teoretycy poezji francuskiej, w ogóle w prowansalskim nie istnieje, właśnie dzięki temu, że był on przez parę wieków językiem głównie mówionym, który sam potrafi się bronić przed niewdzięcznością czy niezrozumiałością. Wszystko, co ułatwia wymowę, jest dozwolone zwyczajem. We francuskim nie zawsze można opuścić samogłoskę, nawet jeżeli chodzi o „e nieme". Jedna jest też tylko spółgłoska eufoniczna — t — (a-t-il dit). Prowansalski ma ich aż 4 (r, t, n, en), ma cały system elizji i enkliz, a jego upodobanie do dźwiękowych ściągnięć pozwala na niesłychaną kondensację wyrazu. We francuskim jedynie „e nieme" odpada przed samogłoską. W prowansalskim a, e, i — nieakcentowane odpadają przed samogłoską bez żadnej sztuczki z apostrofami. Dzięki fonetycznej ortografii, zreformowanej również przez Awiniończyków, czytanie poezji Mistrala dostępne jest każdemu i każdy może zdać sobie sprawę z ich dźwięczności.

Język ten, można powiedzieć, sam układa się w rymy, taka jest ich łatwość i obfitość. Toteż głównym problemem prawdziwego poety piszącego po prowansalsku jest opędzenie się rymom zbyt łatwym, odpychanie pokusy zgromadzenia zdrobnień, której nie zawsze, niestety, potrafił się oprzeć taki Aubanel. Średniowieczna poezja trubadurów nie zna reguły następstwa rymów męskich i żeńskich; wprowadziła ją do poezji francuskiej dopiero Plejada. Ale Mistral, jak i wszyscy Felibrzy, wielbiciel i pupil zresztą Lamartine'a (jego pierwszym utworem poetyckim była pieśń rewolucyjna, pełna zapału, pisana po francusku zresztą, w odpowiedzi na proklamację Lamartine'a w 1848 roku) stosuje się do niej na ogół, z wyjątkiem pieśni, których budowa należy do melodii, pod jaką są podłożone.

Z takim to wdzięcznym surowcem Mistral poczyna sobie po mistrzowsku. Różnorodność form rytmicznych, ich nowość, świeżość, melodyjność, są u niego nieskończone. Wystarczy powiedzieć, że w „Złotych wyspach" ani razu nie powtarza się ten sam rytm, ta sama budowa stroficzna. Nie tyle więc rym, który zawsze jest uderzający, pełen znaczenia i bogaty, najczęściej ze spółgłoską pomocniczą, co rytm, u Mistrala jest wirtuozerią. Jest to prawdziwe opętanie rytmem. „Złote wyspy" liczą aż 17 „unikatów" stroficznych, nie mówiąc o strofie Mirelli, która jest swego rodzaju majstersztykiem (f f m fff m, przy czym f — rym żeński, ośmiozgłoskowiec, m — rym męski, aleksandryn). Strofy „Złotych wysp" w połowie są izometryczne, ale specjalnością Mistrala są strofy polymetryczne, zbudowane z wierszy rozmaitej długości, najczęściej w porządku malejącym.

Aż w 15 wierszach tego zbioru występują refreny. Jest to druga specjalność Mistrala. Nadają one jego poezji charakter ludowy, trochę archaizujący, zawsze podkreślają ogólny nastrój utworu i najczęściej są nie do przetłumaczenia, taka w nich jest celowa kondensacja dźwięku i treści ściśle prowansalskich.

Pod względem formy jest więc Mistral godnym spadkobiercą trubadurów, z tą jednak różnicą, że to, co u nich było kunsztem, wiedzą, wyrafinowaniem, u niego jest spontaniczne i szczere. Poezja trubadurów, obok śmierci tragicznej w wojnie Północy z Południem, poniosła też może inny rodzaj śmierci, naturalny: atrofię treści sprasowanej formą. To, co u nich jest końcem, dekadencją, u Mistrala jest początkiem, już nie rozkwitem, a wybuchem. On pierwszy pokazał poezji prowansalskiej czasów obecnych, co potrafi i do czego jest stworzona. Niełatwo jego następcom wykonać ten testament.

„Złote wyspy" ukazały się po raz pierwszy w 1878 roku u Roumanille'a, ale dopiero w trzecim wydaniu, w 1889 roku, u Lemerre'a w Paryżu, nadał autor postać definitywną. Obecnie jest w przygotowaniu, w ramach wydania zbiorowego Mistrala, także i pierwsze wydanie krytyczne „Złotych wysp", nad którym pracuje prof. J. Boutière.

Mistral jest poetą okolicznościowym, w tym sensie, w jakim jest nim Goethe. Pomimo wielkiej różnorodności tematycznej i formalnej, całość „Złotych wysp" jest harmonijna i jednolita, a to dlatego, że prawdziwą bohaterką wszystkich poematów jest zawsze Prowancja. Mistral jest poetą epicznym. Nawet jego rzadkie liryki, gdzie mówi o sobie, dotyczą w pierwszym rzędzie Prowancji. Układ całości jest przejrzysty. Mniejsze utwory zgrupowane są w ośmiu działach: Pieśni, Ballady, „Sirventes" (rodzaj literacki prowansalski, spokrewniony z satyrą), Fantazje, Żale (rodzaj trenów o elegijnym tonie), Sonety, Pieśni weselne i Pozdrowienia (z wierszem do Lamartine'a, zawierającym słynną strofę dedykującą mu poemat Mirella:

Te counsacre Mireio: es moun cor e moun amo
Es la flour de mis an;
Es un rasin de Crau qu'emé touto sa ramo
Te porge un paisan.)

(Tobie poświęcam Mirellę: to me serce i dusza i kwiecie moich lat, to winne grono z Crau, które z całym listowiem podaje ci wieśniak).

Grupy drobnych utworów, liczące od siedmiu do jedenastu wierszy, poprzedzielane są większymi poematami: Dobosz z Arcole — opiewa słynny epizod napoleońskiej epopei; „Księżniczka Klemencja" — historia dziewosłęców króla francuskiego, którzy ośmielili się wątpić w urodę prowansalskiej narzeczonej; „Śmierć żniwiarza" — poemat wiejski, który ma już w sobie antyczną wielkość Mirelli, jeden z pierwszych utworów Mistrala; dziwny bardzo utwór „La founfoni de l'Oustau", co bardzo trudno przetłumaczyć, a co znaczy mniej więcej „Szepty w izbie" (oddaje życie intymne przedmiotów i zwierząt domowych) i jest jednym z najnowszych i najbardziej sugestywnych utworów Mistrala, oraz cztery zabawne opowieści ludowe w stylu mniej więcej „Golona, strzyżona" Mickiewicza.

Jak na długie życie Mistrala (zmarł dopiero u progu pierwszej wojny światowej), jest tych drobnych utworów niewiele. Ukażą się potem zebrane w małym, późnym tomiku, pod znamiennym tytułem: „Lis Oulivado" — zbiór oliwek, co oznacza w Prowancji jesień, tak jak u nas kopanie ziemniaków. Mistral był poetą epicznym, o wielkim oddechu, który najswobodniej czuł się w wielkich formach poetyckich, w Mirelli, Kalendalu, czy Pieśni o Rodanie.

Czytelnik poezji Mistrala zauważy jedno: każdy tom wydany jest dwujęzycznie, ale tłumaczenie francuskie dokonane jest zawsze prozą, niezgrabne i zaambarasowane. Podobno Mistral czynił tak celowo, aby wykazać samoistność prowansalskiego, a może i jego dźwiękową wyższość nad uprzywilejowaną i triumfującą francuszczyzną. Wydaje mi się też, że tłumacz francuski jego dzieł napotka na trudności większe niż tłumacz o mniejszym stopniu pokrewieństwa językowego. Poezja

(Dokończenie na str. 8)

GIOVANNI PAPINI

„LISTY DO LUDZI PAPIEŻA CELESTYNA VI"

DO HISTORYKÓW

Bracia Moi!
Synowie Moi!

W tej gorzkiej godzinie zapadającej nocy muszę i was wezwać do złożenia sprawozdania przed Bogiem. Braliście udział w deprawowaniu umysłów, weźcie więc udział w ich leczeniu. Nie możecie bronić się mówiąc: oto dzierżymy księgi i protokoły życia ludzkiego i, jeśli ludzie błądzą, nie możemy uczynić nic innego ponad sporządzenie inwentarza błędów oraz stosując neutralność wykazać przyczyny i skutki tych błędów.

Obrona tego rodzaju jest tak tchórzliwa, że potwierdza waszą winę. Historia, tak jak wy ją sobie wyobrażacie i piszecie, usprawiedliwia wszystko cokolwiek się dzieje tylko dlatego, że się dzieje. Usprawiedliwia zwycięzcę i zwyciężonego, zabójcę i ofiarę zbrodni, kata i męczennika. W rzeczywistości zaś nie usprawiedliwia niczego i nikogo, ponieważ istnieje na świecie jedno prawo, przez was zaprzeczone i zapomniane; wasze hasło: nie popierać nikogo, sprowadza się do popierania Arymana.

Nazywacie swoją metodę historyzmem, ale prawdziwe imię tej metody jest „piłatyzm". W obliczu skazanych nie czynicie nic innego poza umywaniem rąk i wzajemnym oczyszczaniem się wodą, splamioną i zbroczoną krwią waszych łańcuchów, będąc z tego naprawdę zadowoleni. Ale wasze ręce, na przekór wszelkiemu myciu, nigdy nie są białe, ponieważ i wy jesteście ludźmi, więc dlatego nie możecie zmyć czerwonych plam odpowiedzialności, jaka na was ciąży.

To jest waszym pierwszym, ale nie największym grzechem. Z pasjonującą siłą staracie się wyjaśnić bieg historii, lecz nie jesteście w stanie zrozumieć czy uczynić owego biegu zrozumiałym, a to dlatego, że zerwaliście i zaprzeczyliście związkowi człowieka z Bogiem. Wyrzuciliście Boga z historii, dlatego jest wam trudno zrozumieć nawet dzieje człowieka, bo jego dzieje są niczym innym jak epizodem, rozdziałem i refleksem istnienia Boga. Historia ludzka jest historią pierwiastka Bożego w człowieku, a ujawnia się to na ziemi w postaci łaski — człowieka, stworzonego na obraz Boży oraz odesłanego na ziemię na podobieństwo Boga Zbawiciela. Jedyną historią, pojętą głęboko, jest ta, która ma początek i koniec. Dla tych więc, którzy umieją odnajdywać w nas pierwiastek Boski, historia ludzka jest drogą, którą człowiek odbywa od chwili oderwania się od Boga aż do powrotu do Niego. Dlatego tylko ta historia jest godną tego miana, która jest pisana pod natchnieniem Bożym i która rozpoczyna się księgami Genezis, a kończy się na Apokalipsie.

Możecie otwierać oczy i usta ze zdziwienia, jak chcecie, ale taka jest prawda. I nie zrozumiecie człowieka, jeśli nie będziecie na niego patrzeć pod kątem widzenia ustosunkowania się do Boga. Ziemia stanowi część Niebios i dlatego nie sposób o niej mówić bez wzmiankowania Nieba. Człowiek nie jest sierotą i dlatego nie można śledzić jego rozwoju bez związku z Ojcem, to jest z Bogiem.

„Wszelka historia jest historią świętą" — nie mówię tego ja, ale protestant Hamann. „Wszelka historia jest Ewangelią" — nie ja tak powiadam, ale idealista Novalis. Jeśli tego nie przyjmujecie za pewnik, musicie przyjąć szyderczą wypowiedź Szekspira: „Życie jest nic nie znaczącą nowelą, opowiedzianą przez idiotę". I w rzeczywistości historia ludzka, nie oznaczona i nie oświecona prawem Bożym, byłaby tylko wydłużającym się marazmem, przerywanym często nagłymi wybuchami szaleństwa.

Dzieje mieszkańców globu ziemskiego są odbiciem i wyjaśnieniem dziejów życia transcendentalnego i nadludzkiego. Są bolesnym refleksem innych postaci: Chrystusa będącego w agonii aż do skończenia świata i Szatana wojującego ciągle aż do dnia, w którym miłość nasza pokona jego nienawiść. Częstokroć zwlekacie z wyznaniem dokonywujących się w was walk i nigdy nie spostrzegacie, że nieprzyjaciel, zawsze gotowy do ataku, ukrywa się pod szatą sprzymierzeńca, sprzymierzeńca zła, w wojnie niewiadomych przeciwko światłu Boskiemu.

Historia jest tragedią teandryczną, a wy niczym innym jak wędrownymi sprzedawcami programów; ona jest dramatem zawsze odradzającego się bólu, a wy jesteście zapleśniali i zimni jak nakrycia urn grobowych; ona jest jedną wielką epopeą, a wy, zamiast poetami, jesteście romanso-pisarzami.

Aby ją dobrze zrozumieć, winniście być „prorokami przyszłości", wy zaś jesteście tylko przewodnikami po cmentarzyskach. Jesteście, niestety, kolekcjonerami kamieni grobowych, archiwistami nekrologów, pisarzykami reklam, buchalterami chronologii, kronikarzami zdarzeń, kopistami biografii. Winniście być odsłaniaczami zasłon i tłumaczami tajemnic, a wy zadawalacie się być zbieraczami chwastów, odkurzaczami pergaminów, mierniczymi kurzu, balsamującymi koronowane zwłoki.

Jakże się łudzicie myśląc, że tworzycie historię od początków i że wyjaśniacie łańcuchy jej spoistości, podczas gdy w ten sposób wykazujecie ubóstwo waszej wyobraźni, słabą spostrzegawczość, mierną intuicję i bankructwo waszych ambicji. Dając materiał dla przyszłej historii, cyzelujecie jej fragmenty, zasłaniacie jej przedsionki. Nie możecie tworzyć prawdziwej historii, ponieważ brak wam światła niebieskiego. Widnieją wam przed oczyma fakty, a wy nie umiecie spostrzec cudownych powiązań, wzniosłych znaczeń, powszechnych praw, które nimi rządzą. Dotąd nie pojęliście, że historia jakiegoś narodu, rozpatrywana w oderwaniu od innych narodów, jest niezrozumiała; że historia jakiegoś wieku, oderwana od reszty stuleci, nie może mieć ani sensu ani zrozumiałej budowy. Prawdziwa jest tylko historia uniwersalna a nie zlepek okaleczałych kronik czy poronionej architektury.

Starożytni historycy wierzyli przynajmniej w Fatum, unoszące się ponad czynami ludzkimi; wyłuskiwali z historii postacie heroiczne, czcili ją jako nauczycielkę życia. A wy nie widzicie żadnych w niej fundamentów, nieraz nawet bardzo uduchowionych, poza głodem żołądka, poza potrzebami zmysłowymi, poza odruchami namiętności, poza żądzą i pychą. Patrzycie na człowieka jak na zdeprawowane zwierzę, które obawia się śmierci i wykazuje instynkt morderstwa. Tak rzeczywiście się on przedstawia w oderwaniu od Boga, ale gdy patrzymy na niego pod kątem jego stosunku do tragedii, w którą są wmieszane sprawy niebieskie i ziemskie, nie jest on tylko żarłocznym zwierzęciem, zabójcą czy marzycielem, ale zupełnie czymś innym, co wykazał i czego nauczał sam Bóg-Człowiek. Zaprzeczacie istnieniu wzniosłości i cnoty u bohaterów historii; widzicie tylko tłum i motłoch, stany i klasy, masę, która fabrykuje sobie marionetki, rzeczników ich znikomości każdego dnia. Nie zauważacie, że historia jest lotem i wymaga wytrawnych lotników, że jest tragedią i potrzebuje bardziej bohaterów jak naśladowców, że jest poematem osnutym na tle czynów bohaterskich.

Śmiejecie się, bo umiecie tylko śmiać się, z wiary starożytnych w historię jako nauczycielkę życia. W rzeczywistości jest ona raczej nauczycielką śmierci niż życia, ponieważ pokazuje, jak należy umierać, jak należy przygotowywać się do jej uwolnienia od tego, co się nazywa życiem oraz podążać tam, gdzie Byt istnieje wiecznie. Ze słynnej definicji Marka Tuliusza*) wzięliście tylko dwa zdania: są i inne rzeczy, bardziej godne, aby były naszymi.

„Historia — powiada Cicero — jest świadectwem czasu, światłem prawdy, duszą wspomnień, nauczycielką życia, wyrazicielką trwałości." Śmiejecie się z niej jako „nauczycielki życia", ale dlaczego nie zastanowicie się nad nią jako nad „światłem prawdy". Sędziwy mówca mógł te słowa rozumieć w sensie czysto ludzkim — chociaż tego nie jesteśmy pewni — ale wiemy, że człowiek nie ma pełnej świadomości prawdy. Może być oświecony, ale tylko światłem Niebios, to jest Objawieniem. Więc powiadam wam, o historycy, że i historia może być objawieniem, to jest światłem prawdy. Jak jeden jest Bóg w trzech Osobach, podobnie i na ziemi są trzy objawienia. Pierwszym jest wszechświat — dzieło Stworzyciela; drugim Pismo Święte, pisane pod natchnieniem Ducha Świętego; trzecim objawieniem jest historia przemienienia i przedłużenia się Boga-Człowieka w ból ludzki.

Z pierwszego objawienia uczeni zdołali odcyfrować jakąś cząsteczkę; drugie jest od wieków naszym chlebem powszednim; z trzeciego przezierają zaledwie pierwsze sylaby, jak z listu przeglądanego przy słabiutkim świetle gwiazd. Jeśli się nie zdecydujecie uważać historii za objawienie, nie odkryjecie prawdziwego rozwoju i przeznaczenia rodzaju ludzkiego. Ze szczytów góry śledzimy największe ciała niebieskie; powinniśmy więc i losy ludzkie badać ze szczytów Niebios. Jeśli patrzymy z punktu widzenia wiary, wtedy to, co zdawało się być bezsensowne, jest słuszne, rzeczy, które zdawały się być zabłąkanymi światełkami, przybierają znaczenie realne, to, co uchodziło za niezrozumiałe, staje się kluczem wyjaśniającym. Historia oderwana od Boga jest tylko zarzewiem buntu i zaburzeń. Zaś włączona w światło Boskie staje się głosem nadziei, co prawda wymagającej cierpliwości, ale w końcu triumfującej. Historia traci sens, jeśli jej brak początku i końca, jest zwykłym rejestrem powtarzających się szaleństw i niepotrzebnych zbrodni. Ów początek i koniec nie może znajdować się w hipotezach zoologów, w hipotezach, które same nie znają swojego prawdziwego początku ani swojego losu, ale które mogą być rozpoznane tylko w Bogu. Usunięcie Boga z historii oznacza niezrozumienie człowieka. Bóg jest pierwszym i najwyższym misterium i bez Niego wszystko inne staje się groźnym misterium. Jeśli On jest motorem wszelkiego ruchu, jeśli do Niego wszystko należy i odnosi się, więc jakże może brakować Go w dziejach świata, zatem w życiu tych stworzeń, które są umiłowane przez Niego ponad wszystko.

Wy historycy, zarówno przez odrzucanie Boga czy milczenie o Nim stajecie się przyczyną powszechnego odstępstwa od Niego. Bo tak przez ignorancję jak przez milczenie o obecności Jego w historii dajecie nie tylko okaleczały i zwichnięty pogląd o człowieku, ale potęgujecie jego nieświadomość i obojętność. Ludzkość ma potrzebę poznania miłości, bo miłość jest światłością, która się objawia w radości uwielbienia. Odsunięcie Boga powoduje utratę wiedzy i szczęścia. Wiecie, ile ludzie zawsze potrzebują i pouczenia i wskazówek, ale specjalnie w tych czasach upadku i poniżenia.

Jesteście i wy ukarani. Moglibyście żyć na słonecznej górze, z której szczytu zauważylibyście geometryczność na rysunku Boskim, unoszącą się ponad nieładem zdarzeń ziemskich. Wy zaś nadwyrężacie wzrok w cuchnących suterenach, gdzie latarnia zdaje się wam być słońcem, połysk murów — srebrem, stłuczony kieliszek — kopalnią diamentów, kupa łachów — górą Ewerest. Przyjdźcie pod słońce wiary, a zobaczycie w określonych i jasnych scenach, jak wygląda misterium zbrodni i kary, grzechu i wybawienia, upadku i dźwigania się z niego, które to misterium jest krzyżową i cudowną historią ludzi.

Nie opowiadajcie, że jest to teologia historii, przestarzała i przedawniona koncepcja. Czyż sądzicie może, że prawda, jeśli jest dawna, przestaje przez to być prawdą? Czy może wyobrażacie sobie, że teologia, wiedza o Bogu, jest bardziej fantastyczna od waszej wiedzy o fizyce czy antropologii? Może się łudzicie, że grawitacja i eter są mniej tajemnicze niż Trójca Święta i Wcielenie Boże? Znacież wy lepiej naturę widzianego świata od tego, co my znamy jako naturę Ducha Świętego? Proście waszych nauczycieli, ale tych nauczycieli naprawdę uczonych, tych, którzy umieją się poruszać w morzu słów i symboli, o coś bardziej istotnego od teologii. Nie chwalcie się cudownym zastosowaniem waszej wiedzy. Wiedza o Bogu ma również cudowne i doświadczalne zastosowania, którymi są ekstaza, miłość i cuda.

Metoda nazywana przez was, ze wzgardą, teologiczną, zbliża się bardziej do prawdy od tej, która doszukuje się racji w faktach historycznych czy umysłowych, w statystykach bawełny i w gmatwaninie cyfr. Jeśli próby objawienia historii, zawdzięczane św. Augustynowi i Bossuetowi, nie zadawalają was, sami wyłońcie jakieś inne objawienia, bardziej światłe i przezorne, możliwe zwłaszcza w czasach dzisiejszych, kiedy znajduje się duża obfitość materiału historycznego, a jego analiza jest bardziej czujna i dozorowana. Nie mówię o pięknych powierzchownie fantazjach starych filozofów, ale pragnąłbym pobudzić was do poszukiwania nowych i pewnych praw, które miałyby pewny fundament, oparty na ustalonych faktach, a zastosowanych przez was samych. Powiadam wam, że Kolumb i Magellan historii jeszcze się nie urodzili. I nie mogą urodzić się, dopóki wy historycy stać będziecie na zacienionych dziobach statków, zakotwiczonych w głębinie ciężkiego i grząskiego racjonalizmu, zamiast podnieść żagle, które, przy pełnym wietrze, wiałyby w kierunku morza otwartego, zgodnie z wiarą i poezją.

I jest wielkim nieszczęściem, że sami historycy, tak chrześcijaństwa jak i Kościoła, porzucili ten cudowny okręt historii, uważany za objawienie, może z obawy przed łatwymi drwinami, a może z powodu swojej miernoty umysłowej. Nikt jednak nie przedsiębierze przydługiej żeglugi poprzez pełne morze ludzkiej przeszłości, za wyjątkiem jakiegoś wilka niebieskiego, na którego ciemny tłum, zjadacz kultury materialnej, krzywo się patrzy i z podejrzliwym nastawieniem, nazywając go raz świętym, raz fałszywym wizjonerem. Za sterników moglibyście mieć amołów a oni zadowalają się naśladowaniem kretów. Piszą o wierze chrześcijańskiej, jakby dawali sprawozdanie o spółce akcyjnej, z tym samym letnim tonem i powolnością, z tą samą obowiązującą i przewidzianą ilością paragrafów, w tym samym porządku, w tym niwelującym i nudnym rytmie, który oddala czytelników, zamiast ich radować płomienną jasnością niebios. Zdaje się, że wiele stron waszych tomów jest pisanych podczas zapadającej mgły, przy pomocy rozcieńczonego atramentu, a potem wysuszonych prochem cmentarnym.

Wy dziejopisarze Chrystusa i Kościoła, którzy winniście dawać wszystkim przykład Boskiego tłumaczenia rzeczy ludzkich, stajecie się bojaźliwymi i niemal przestraszonymi, jeśli chodzi o rzeczy nadziemskie. Zaśniedziali drzemiecie sobie w waszych wysuszonych schematach, w zimnych skrzynkach, w waszych pastwiskach zamkniętych zaroślami bibliografii i jesteście szczęśliwi o nic nie prosząc ani na nic nie zważając.

Z wszelkich historii wasz materiał mógłby być najpiękniejszy. Zejście Boga, pod postacią ludzką, na ziemię, oczekiwanie i przygotowanie się ludzi na Jego przyjście, życie pośmiertne Chrystusa w sercach ludzkich, światło wśród mroków, ogień wśród popiołów, klęski i zwycięstwa Szatana, punkty styku i rozdziału natury i łaski, powołania i przeznaczenia, rzeczy najpodlejsze i najwznioślejsze, a w końcu znaki oznajmujące ostatnią podróż. Z całej historii najbardziej dramatyczne są dzieje chrześcijaństwa. Nie jest to spokojny rozwój przeplatany wzlotem czy upadkiem, lecz zawsze rozpoczynająca się obrona przeciwko wszelkim siłom opierającym się zwycięstwu Chrystusa. Jest to historia odpartych najazdów, odrzuconych ataków, wykrytych zdrad, pokonanych oblężeń, wyleczonych zakażeń. Taką była zawsze, poprzez wszystkie wieki, od ukamienowania św. Szczepana aż po dni dzisiejsze. Historia chrześcijaństwa, poprzez ustawiczny opór i trwanie, wystawia sobie najbardziej widoczną apologię, najdoskonalszy przykład Boskiego pochodzenia. Lecz wy nie umiecie tego zauważyć ani innym dać możności zauważenia. Jesteście dymiącymi a nie zapalonymi świecznikami; znajdujecie się wśród największych grzeszników występujących przeciwko Duchowi Świętemu.

Wasza miernota jest zbrodniczą, ponieważ pomniejsza Kościół Chrystusowy, a przez to oddala od niego ludzi najbardziej godnych odczucia jego wielkości. Jeśliby was natchnęły wiara, miłość i poezja, moglibyście dokonać świetnych i nadzwyczajnych odkryć, ponieważ pokazalibyście, nawet najbardziej tępym i źle widzącym, służbę Bożą w rzeczach ludzkich: „L'homme s'agite et Dieu le mène".

Wielu twierdziło, a wielu to powtarza, że centrum historii jest Krzyż. Ale nikt nie zatroszczył się dać, wzorem geometrycznym, niezbitego dowodu na istnienie tej prawdy, oświetlającej wszelką przyszłą apologię. Takie wykazanie byłoby niewątpliwie możliwe, ale opóźnia go wasz opór przeciwko wszystkiemu, co jest znakiem nadludzkiej obecności. Podobne i niemal identyczne wydarzenia, powstawanie ich i zanikanie widzi się jasno, w różnych odstępach lat, przed i po wcieleniu Chrystusa. Wydaje się, że Krzyż jest nieruchomym słońcem, wokół którego, według prawideł czasu, porusza się koło historii: ilość porównań i analogii powtarzających się w ustalonym terminie — przed i po Chrystusie — jest tak wielka, że nie można mówić o przypadkowości czy o zbiegu wypadków. Widzicie, jaką wartość mogłyby dać te odkrycia dla utwierdzenia wątpiących, dających się przekonywać tylko konkretnymi i licznymi faktami, o Boskości Chrystusa, co jest kamieniem węgielnym naszej wiary.

Jeśli rodzaj ludzki — jak już wielokrotnie zaznaczyłem i nie przestanę nigdy powtarzać — znajduje się u progu śmiertelnego niebezpieczeństwa i jeśli nie można uniknąć jego spełnienia się, jak tylko poprzez chrystianizm, w nieskazitelności wiary i pracy, więc rozumiecie, dlaczego zwracam się i do was. Obecnie wszystko co oddala i dzieli od chrystianizmu jest przyśpieszeniem śmierci; zaś wszystko, co udziela ludziom szczęśliwej i zwycięskiej mocy Chrystusowej, jest dla każdego człowieka i narodu obietnicą i gwarancją zbawienia. Więc i wy w swojej dziedzinie winniście podać rękę tej niezmierzonej i nieodwołalnej działalności, jaką jest powszechne nawrócenie. Wielu z was wyrzuciło Boga jakby przykrego i natrętnego intruza; inni, nie mniej winni, mówili bez intuicji i miłości, o Jego poczynaniach wśród ludzi i wynikach, jakby szukali przebaczenia u niewierzących dlatego, że sami wierzą. Lecz ludzkość, jeśli nie chce umrzeć, winna odszukać Boga i wielbić Go w każdej cząstce i formie wszechświata. Dlatego winna odczuwać Boga również w rodzaju ludzkim, a ponieważ historia ludzka jest prawie zawsze historią bólu, więc niechaj wie, że ból człowieka przyczynia się do osiągnięcia i do rozpowszechnienia w nas boskości, tej wszechprzenikającej pewności powszechnego odrodzenia. Kolej na was historycy, abyście pierwsi odcyfrowali tę płomienną rewelację o konieczności odrodzenia. W imię Chrystusa, nie bądźcie dłużej zakurzonymi przedstawicielami upiorów, ale przewodnikami wieczności poprzez trzęsawiska czasu. Uczyńcie, aby na skutek waszych dzieł, święta prawda stała się tym, co już było zaznaczone: historią-zwiastunką ostatecznego sądu.

PAPIEŻ CELESTYN VI
SŁUGA SŁUG BOŻYCH

Przełożył S. Piekut

*) Cicerona — przyp. tłum.

IRENA HRADYSKA

RĘKAWICZKI

— Bo, proszę pani — opowiadała babcia sąsiadce — taki mały chrząszcz, co ledwo od ziemi odrósł, i jakąż to ma fantazję! Bierze to to, te moje czarne rękawiczki i układa sobie z tego bajkę. „Babciu, pać — mówi — ten mały paluszek, to taka biedna dziewczynka, a te duże to straszny las w nocy."

Sąsiadka głową z udanym zachwytem pokiwała. Ach, co to z tej Masi wyrośnie?

Gdy Masia trochę podrosła, zaczęła chadzać z babcią na nieszpory. Trzymała się kurczowo babcinej rękawiczki w obawie przed zagubieniem w tłumie. Po nieszporach babcia dłużej niż inni ludzie zostawała przy ołtarzu Matki Boskiej. Bywało nieraz, że nawet swąd po gaszeniu świec wsiąkł w mrok kościoła, a ostrzegawcze chrząkanie organisty beznadziejnie rozpływało się po nawach, a babcia niczym nie wyprowadzona z modlitewnego znieruchomienia trwała na klęczkach. Dla małej Masi to babcine rozmodlenie było czymś pośrednim między snem a wiecznością. Wiadomo wprawdzie było, że babcia się kiedyś podniesie z klęczek, ale czy to będzie jutro, czy za chwilę, z tego Masia jeszcze nie umiała sobie zdać sprawy.

Pewnego razu przyczajona w Masi żywość rzuciła nią wprost pod ołtarz. Grzecznie dygnąwszy dziewczątko wyszeptało:

— Nie umiem się modlić jak babcia, ale ci za to zatańczę, Matko Boska — i zaczęła dziwaczny jakiś taniec; to przypadała do ziemi w płaskim bezruchu, to znów podnosiła się nagle jakby poderwana, stawała na końcach paluszków wyciągając wysoko ramiona, jakby się chciała oderwać od ziemi i ulecieć w powietrze, to znów opadała lekko chwiejąc się ku podłodze. Tańcząc szeptała z tkliwością: — Czy się podoba? Powiedz, czy Ci się podoba ten taniec? Ja dla Ciebie tańczę.

— Co to miało znaczyć? — zapytała babcia, gdy skrzypnęło pod nogami mrozem i sypnęło śnieżynkami w oczy.

Dziewczynka nie od razu odpowiedziała, dopiero gdy usłyszała przekonywujące: „no nie wstydź się, przecież babcia zrozumie" — wyrzuciła z siebie:

— To było jak latawiec tańczy...

— Jak to?

— Że chce polecieć wysoko, wysoko... i nie może... bo go ten sznurek zatrzymuje na ziemi i on pada.

Jeszcze w parę lat po tym zdarzeniu babcia, gdy tylko miała sposobność, opowiadała znajomym o Masinym tańcu, aż kiedyś jedna prostoduszna znajoma z wrodzoną sobie prawdomównością powiedziała o Masi, że pewno nie jest całkiem normalna i co jak co, ale histeryczka to z niej wyrośnie. Babcia tę opinię sąsiadki wzięła sobie do serca bardzo za bardzo i odtąd panie przestały się nawzajem zauważać, chociażby nawet u bram kościoła. Ale sąsiadka wcale nie była taka zła jakoby się wydawało i nawet sama kiedyś zagadnęła wracającą ze szkoły Masię, czy nie wstąpiłaby na smażone placuszki kartoflane. Masia rzeczowo zapytała, czy będą „na słodko", czy „na słono". Były na słono z kwaśną śmietaną, wobec czego warto było zaryzykować wymówkę babci za spóźnienie na obiad. Sąsiadka między pierwszym a szóstym placuszkiem dowiedziała się parę szczegółów, które uplotła sobie w deseń: ojciec okularnik zagrzebany w książkach, z matki, to mała ma tyle pociechy, co zapach perfum w nosie i czekoladek od gości, a babcia na wszystko pozwala i tylko tymi wariactwami się zachwyca. Wiedziona litością nad zaniedbanym dziecięciem, widząc dla tej biednej duszyczki jedyny ratunek w robótkach dziewczęcych, zaproponowała naukę trykotażu na drutach, „co uspokaja nerwy".

Po paru lekcjach okazało się, że z tego zmanierowanego dziecięcia jeszcze coś może być, bo druty w jej dziewięcioletnich rączkach wprawnie zaczęły migać, nie za często gubiąc „oczka".

Nowo zdobyta sprawność miała się Masi niebawem przydać. Mała dawno już przestała wierzyć w „aniołka", bo gdyby był naprawdę, to przede wszystkim przyniósłby dużo zabawek i słodyczy dziewczynce z zapałkami i nie pozwoliłby jej zamarznąć na śmierć pod oknem bogatych ludzi. Gdy się więc iluzoryczny aniołek zupełnie z Masi serduszka wyprowadził, miejsce jego zajęły kłopoty nad prezentami gwiazdkowymi. Przewracając się bezsennie do późnej nocy, na za miękkiej poduszce, Masia wpadła na pomysł zrobienia dla babci na gwiazdkę rękawiczek na drutach. Wiedziała przecież, że babcia nowych sobie nigdy nie zrobi, bo zawalona była stale zamówieniami na pończoszki, sweterki i inne części garderoby dla wnuków. Najwięcej czasu traciła na strojenie najmłodszego z ciotecznych braciszków Masi. Był wprawdzie mały jak lalka, ale właśnie na nim wszystkie rzeczy robiły się najszybciej za ciasne.

Skoro pomysł już był, pozostawało tylko wykonanie. Bieda z tym jednak, że sąsiadka pomogła wprawdzie Masi przy robocie pierwszej rękawiczki, ale gdy się dowiedziała, że to dla babci, która się do niej nadal odwraca plecyma, przy wykonywaniu drugiej odmówiła swej fachowej pomocy. Z niepewnością w sercu zaczęła Masia tę drugą rękawiczkę.

Boże Narodzenie zbliżało się tym razem z zastraszającą szybkością. Czarna, rękawiczkowa zgryzota przesłaniała każdą jaśniejszą myśl o spodziewanych prezentach. Nie miała Masia nikogo, kto by jej wahania przy obliczaniu oczek podparł pewną ręką. Dopiero w przeddzień wigilii, leżąc na łóżku Masia wykończyła ostatecznie rękawiczkę. Jeszcze tylko owinąć w bibułkę i napisać, że „dla Najdroższej Babuni", gdy... hmmm! Masia patrzy, a tu ani mniej, ani więcej, ani w sam raz, tylko sześć palców w tej drugiej rękawiczce! Jak to się stało, szuka odpowiedzi, jakoby znalezienie pomyłki mogło cokolwiek wpłynąć na ten fakt nie do odrobienia. Liczy: raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć. Jest sześć. Zamyka oczy, otwiera; jest sześć. I już nic a nic poradzić nie można. Trzeba by spruć całą robotę, do miejsca, gdzie pomyliła się przy rozdzielaniu oczek na poszczególne palce. Na to już nie ma czasu. Masine tempo pracy: jeden palec na jeden tydzień. Zrywa się więc z łóżka i desperacko biegnie do matki. Ale tam, Masiu, uważaj, gubisz papilloty, nie będziesz miała loków jutro. Matka już w łóżku. Piękna i daleka. Unosząc na policzku jej przelotny pocałunek wpada do pokoju ojca, bez stukania. Podnoszą się oczy. Niechętne, nagłe zbliżenie się dwu brwi ku sobie świadczy o nieodpowiedniości tej nocnej wizyty.

— Dobranoc, tatusiu.

Jadalnia pławi się w ciemności. Kontakt dopiero przy drzwiach kuchennych. Po drodze każdy mebel straszy swym niespodziewanym kształtem. Za drzwiami, w kuchni, głos babci. Sypią się ziarnka słów między nią a starą kucharką spokojnie, jakby klepsydry odmierzające ich czas miały pracować w nieskończoność. Wszystkimi szczelinami drzwi przecieka zapach bakalii i świeżego ciasta, o którym się wie, że do jutra ten ciepły zapach uleci i nikt jego smaku nie uchwyci.

— Masiu! — smukła sylwetka potyka się o nią w ciemności jadalni — jak możesz jeszcze nie spać? — i babcia przeprowadza wnuczkę przez znajomą już jadalnię, do pokoiku, układa, okrywa, robi znak krzyża na czole. Na chwileczkę wzrok babci zatrzymuje się na leżących na nocnym stoliku rękawiczkach. Masi płomień się kładzie na policzkach, ale nic, przeszło, babcia gasi światło i wychodzi, a Masia zasypia.

Śpi Masia, śpi i nic nie wie, że babcia raz jeszcze wchodzi na palcach i po omacku szuka czegoś. Oddycha Masia spokojnie i nic nie wie, że w szarość zimowego poranku nie wstaje babcia z ciepłego łóżka, lecz prostuje zmęczone plecy na krzesełku, przeciera okulary do robót i odkłada je do koszyczka, uśmiecha się i znów cichutko wchodzi do dziecinnego pokoiku.

Pierwszym po przebudzeniu ruchem Masia sięga po rękawiczki. Są na miejscu. Błyskawicznie pakuje je w bibułkę, bo już babcia nawołuje na śniadanie.

— Jakże można po nocach nie sypiać — robi babci wyrzuty ojciec Masi.

Babka, broni się, że dosyć spała, ale po tych krwawych żyłkach, zasnuwających białka oczu, widać, że się tej nocy nie kładła.

Dla Masi dzień wigilijny ciągnie się nieznośnie. Próbowała już saneczek, lepiła bałwana, zakradła się na przewiany zimą strych, a wszystkim tym czynnościom towarzyszyła myśl, że biedna babcia pod choinką znajdzie rękawiczkę o sześciu palcach. Może lepiej będzie od razu je wyrzucić i niech się nikt nie śmieje, niech nikt nie pociesza przyszłością, niech nikt nie przypomina co mu się kiedyś nie udało w dzieciństwie.

Z takimi myślami zasiadła do stołu wigilijnego, jadła nieprzytomnie i zrezygnowana poszła ze wszystkimi pod choinkę, gdy się odezwał ten, dawniej z drżeniem serca oczekiwany dzwonek niebiański, a dziś sygnał, że ojciec dostarczone mu przez domowników paczki poukładał pod choinką i między jej gałązkami.

Parę tuzinów świeczek przyświeca Masinej rezygnacji, gdy babcia bierze do rąk paczuszkę z napisem: dla „Najlepszej Babci". Wtedy Masia rzuca się całą duszą pod nogi Anioła Stróża: spraw to, spraw — błaga skamieniała — spraw, by znikły te rękawiczki albo daj, niech ich nikt nie ogląda, Aniele Stróżu mój, zlituj się, niech nikt nie zobaczy...

Ale babcia ogląda rękawiczki dokładnie, cieszy się i... wkłada na ręce. Masia nie śmie podnieść oczu, gdy ją babcia całuje ze słowami: nie spodziewałam się, że umiesz robić na drutach, kochaneczko.

Masia ukradkiem zerka na rękawiczki i niepokój ustępuje oczarowaniu, bo rękawiczki są śliczne. Nie ma szóstego palca. Nie ma.

Irena Hradyska

JEZU SŁODKI

Jezu słodki, synu drogi,
W stajence leżysz ubogiej,
Żałość mi to nie mała.
Kołyska niby mary goła,
Osła za kuma i wołu...
Aż bych płakała.

Jezu słodki, nie bądź gniewny,
Chociaż nie masz chusty jednej.
Czymże Cię owinę?
Jak bez płachty Cię otulić?
Przyciś nóżki do matuli.
Ochroń się przed zimnem.

Pieśń angielska z 1375 r.
tłum. F. Śmieja

JANUSZ KOWALEWSKI

JOANNA I JAN

W PARKU PADEREWSKIEGO słowik śpiewał — o niepokoju swego słowiczego serca. W Wiśle drgał księżyc — jak rytm krwi. Wieczór był ciepły — jak miłość. Warszawa z drugiego brzegu szumiała, pohukiwała, podzwaniała — jak radość.

— Piękna jest ta wasza Warszawa — powiedziała Joanna, gdy podeszli do nadbrzeża.

— „Wasza"? — oburzył się Jan. — Warszawa jest n a s z a... A wiesz, długo nie było słowików w Warszawie, zagnieździły się od niedawna dopiero.

— Byłeś w Warszawie w czasie powstania?

Jan westchnął i kiwnął głową.

— Ja byłam na wsi. U nas wszyscy płakali i modlili się za was. Tak, Warszawa jest nasza... Ile ten nasz naród przeszedł, przecierpiał...

— Ale dziś w pięknych żyjemy czasach, prawda?

— Słowik przestał śpiewać — powiedziała Joanna.

— Patrz, jak światło księżyca drży w wodzie... jak śpiew słowiczy.

Wybuchnęli nagłym śmiechem.

— Z czego się śmiejesz, Joasiu?

— Pewnie z tego samego, co i ty.

— No, z czego?

— Że chyba wszyscy ludzie we wszystkich czasach i narodach... zawsze mówią o słowiku, o księżycu...

— ...gdy są zakochani — dopowiedział Jan poważnie.

— Kochasz mnie, Janku? — spytała Joanna tym samym tonem.

Poruszył kilkakrotnie głową w górę i w dół, patrząc w stronę połyskującej Wisły.

— Za co? — spytała cichutko.

— Za to — wybuchnął — że jesteś taka wspaniała dziewczyna. Wymarzona. Mądra, szczera, prosta, odważna, piękna. A ty mnie kochasz?

— Tak.

— Za co?

— Za to samo. Że jesteś wspaniały chłopiec — dobry. Boję się, że nie jestem warta ciebie.

— Joasiu! Jak możesz — poderwał się z ławki, znowu usiadł i ujął jej dłoń. Była gładka, ale jakaś twarda, zupełnie nie kobieca. — To ja nie jestem ciebie wart. Bałem się, że nie będziesz mnie chciała. A ty wiedziałaś pewnie, że cię kocham?

Skinęła głową.

— Dlaczegoś mnie nie ośmieliła?

— Nie wypadało.

— Ale... Przesąd. Nie w takich my już żyjemy czasach. Równouprawnienie. Dla wszystkich. Pomyśleć, że taka rzecz, jak nasza miłość, byłaby nie do pomyślenia w dawnych czasach. Przedzieliłyby nas bariery przesądów klasowych... Tak mi się teraz — choć to może egoistyczne, antysocjalistyczne podejście — tak mi się teraz marzy, że ta cała wojna, ten cały przewrót, jaki się u nas dokonał, to tylko po to, by Jan, syn dawnego obszarnika, mógł sobie rozmawiać o słowikach i księżycu ze swoją ukochaną Joanną...

— ...córką małorolnego chłopa pracującego.

Roześmiała się aż jej łzy w oczach zaświeciły.

— Z czego się śmiejesz?

— Bo to jest takie, wiesz, śmieszne trochę... Ta klasyfikacja ludzi u nas... Z jednej strony demokracja ludowa, a z drugiej to ciągłe przypominanie, nawet wypominanie przynależności klasowej. Że ten robotnik, a ten chłop. Że ten mało a ten średniorolny. Ten inteligent pracujący, ten artysta ludowy, ten socjalista, ten katolik i tede... Czy to nie jest sprzeczne z samą zasadą demokracji?

— Skądże? Właściwie to istnieje podział na dwie klasy: klasę pracującą i niepracujących pasożytów. Niepracującym pasożytem jest kułak...

— U nas na wsi mówią, że nie pracującym pasożytem jest biurokracja miejska... A z tym kułakiem to — powiem ci szczerze — legenda.

— Co ty też mówisz, Joasiu! Zetempówka i takie rzeczy...

— Bo tak jest naprawdę. Póki byłam na wsi, to nic o żadnym kułaku nie słyszałam, nie wiedziałam. Wszyscy u nas pracują i wierz mi: nie lekko. A kiedy przyszłam do szkoły w Kaliszu i teraz na uniwersytecie w Warszawie — to wszędzie kułak i kułak. Ja nie wiem, może gdzie indziej są tacy, ale jeśli nawet są, to jako zupełne wyjątki...

— Odwracasz zagadnienie: walka klas nie może być wyjątkiem, ponieważ stanowi regułę. Marx powiedział, że walka klas jest motorem dziejów.

— Ale chyba nie u nas. U nas jest demokracja ludowa. Przecież klasy posiadające są usunięte i zlikwidowane. Nie ma fabrykantów, nie ma obszarników. To i walki być nie powinno, ani nienawiści, ani zawiści, wszyscy powinni się kochać. Tak ja rozumiem demokrację.

— Ja też. Ale kułak jest przeszkodą na drodze do urzeczywistnienia prawdziwej demokracji.

— Kiedy mówię ci, że kułak to legenda. Nie ma żadnego kułaka.

Głos Joanny stał się niecierpliwy, twardy.

— Obojętne jak to nazwiemy, ale są przecież, przyznasz, chłopi indywidualni, prywatni posiadacze ziemi. To znaczy jest klasa posiadająca. To znaczy, że musi być walka klas: między robotnikiem i chłopem.

— Nie, nie musi. W interesie robotnika wcale nie leży, żeby chłop został pozbawiony ziemi. Rozmawiałam z wielu robotnikami — wcale nie są za kolektywizacją ziemi.

— Nieuświadomieni.

— Mnie się zdaje, że tych „nieuświadomionych" jest więcej. I tak na zdrowy rozum biorąc, to oni mają rację. Bo zważmy: jeśli i fabryki i ziemia, czyli chleb, przejdzie całkowicie na własność państwa, to powstanie ogromny monopol — chleba, odzieży, wszelkich towarów i władzy — w jednych rękach — rządowych — i taki monopol stanie się pokusą dla rządu do popełniania nadużyć gospodarczych i politycznych...

— Nie dla rządu socjalistycznego. Rząd kapitalistów, oczywiście...

— Wszędzie są ludzie, a ludzie z trudem opierają się pokusom.

— Ludzie tworzą warunki. „Byt określa świadomość", powiedział Marx.

— No właśnie. To argument przeciw tobie. Warunki monopolu muszą stwarzać te same możliwości nadużyć — czy ten monopol będzie się nazywał „kapitalistyczny" czy „socjalistyczny".

— Nie, bo nad „monopolem" socjalistycznym jest kontrola ludu.

Od Saskiej Kępy odezwał się słowik.

— I znowu śpiewa — powiedziała Joanna.

—✱—

ZŁOTE, czerwone i żółte liście szeleściły ostro pod stopami. Jan szedł ze zwieszoną głową dużymi krokami; pękata, tęga Dorota dreptała przy nim drobno.

— Nie martw się, Jasiu — mówiła. — Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Odeszła od ciebie, odeszła od nas. To i lepiej. Wrogi element, kułacka córka...

— Ona pochodzi z rodziny małorolnych.

— E tam, oni wszyscy „małorolni". Ja ci coś powiem szczerze, można?

— Zetempowiec zawsze powinien być szczery.

— Naturalnie, tylko burżuazja kocha się w fałszu. Więc ja ci powiem z serca, jak towarzyszka: dobrze, żeś się nie splątał z kułaczką, bo przecież i twoje pochodzenie klasowe nie jest pewne.

— Wprost przeciwnie: zupełnie pewne — powiedział Jan i westchnął.

— A mówią, żeś ty podobno jakiś hrabia z nieprawego łoża...

— Niestety, z prawego.

— No widzisz, to już zupełnie źle — ożywiła się Dorota. — Tobie nie wolno absolutnie wiązać się z kułaczką — zniszczyłbyś sobie karierę. Tobie potrzebna panienka z dobrej rodziny proletariackiej... A powiedz, Jasiu, jak to tam u was było. Nie bój się, mów szczerze, ja tobą gardzić nie będę, chociaż ja córka robotnika... Tylko dzięki naszej kochanej władzy ludowej jestem studentką, mam tę możność... No powiedz, Jasiu, powiedz, jak to w tych hrabiowskich rodzinach bywało.

Jan westchnął znowu i przeczesywał palcami jasną wiechę włosów, a wiatr mu je wciąż rozwiewał, jak te, z rzadka liśćmi pokryte, witki drzew.

— No cóż, zwyczajnie... Żyłem w luksusie. Miałem kilka guwernantek — każdą od innego języka obcego. Wojna wybuchła, ojciec zginął we wrześniu. Był oficerem...

— Był oficerem, powiadasz. Dobrze, że szczerze i samokrytycznie podchodzisz do problemu pochodzenia klasowego... Zginął, biedak. Przykre — hrabia, ale bądź co bądź ojciec. No mów dalej.

— Zostałem z matką w Warszawie. Matka należała do Armii Krajowej...

— Dobrze... Samokrytycznie podchodzisz.

— Zginęła w czasie powstania.

— Toś ty naprawdę biedny, Jasiu. Sierota.

— Mnie władza ludowa przygarnęła i zastąpiła rodziców. Dała mi naukę... A nade wszystko możność poprawy i pokuty za winy przodków... Ministerstwo pegeerów proponuje mi stanowisko sekretarza ministra po dyplomie.

Wiatr dmuchnął mocniej, gwizdnęło, liście zaszurały po szarym asfalcie i uniosły się w górę rudym pejsem. Dorota, czy to z chłodu, czy naturalnej skłonności, objęła Jana i przytuliła się mocno do jego boku.

— Widzisz, widzisz, Jasiu, jaka ta nasza władza ludowa kochana. A ty z kułaczką chciałeś się żenić. Ty powinieneś z nią zerwać, nawet gdyby ona na siłę chciała się ciebie czepiać.

— Proszę cię, nie mów tak o Joannie, to zbłąkana, ale dobra, uczciwa dziewczyna.

— Dobrze, że bronisz kobiety, to wasz hrabiowski fason, ja to nawet lubię. Ale zerwać z nią musisz. Nie możesz sobie łamać kariery, Jasiu. Widzisz przecież co to za element: po przyjeździe z wakacji — naszpuntowali tam ją kułaki widać fest — to wyraźny wróg. Ja bym takiej nawet dyplomu nie dała... Po co to uzbrajać wroga klasowego w wiedzę? Żeby ją wykorzystał przeciw nam, przeciw władzy ludowej?... Uważam, że jako sekretarz komórki zetempowskiej powinieneś wystąpić do dziekanatu z odpowiednim wnioskiem.

Jan zatrzymał się raptownie i spojrzał Dorocie w oczy.

— Nie zrobię tego, nie wolno tego robić. To byłaby krzywda, niesprawiedliwość; czy ona zostanie z nami czy pójdzie od nas to jej sprawa, ale co się jej należy, powinna dostać. Była najlepszą studentką. Gdybyśmy jej nie dali dyplomu, to by wpłynęło nie wychowawczo, antypropagandowo na młodzież bezpartyjną... Nie wolno nam tego robić...

— Może masz i rację. Niech tylko sobie jedzie, to damy jej dyplom... Ja tam nie będę przeszkadzała... Dla ciebie to robię, Jasiu. Tylko musisz mi przyrzec, że z nią zerwiesz.

Spojrzało mu prosząco i zalotnie w oczy.

—✱—

JOANNA dyplom dostała, ale bez nagrody, która jej się ponad wszelką wątpliwość należała. Jana zabolała ta niesprawiedliwość. Po uroczystości rozdania dyplomów podszedł do Joanny. Dawno już z sobą nie rozmawiali. Spłonęła rumieńcem. Zaproponował jej spacer. Zgodziła się skinieniem głowy. Wyszli razem przeprowadzeni błyskawicami spojrzeń Doroty.

Śnieg kładł się miękko, rzewnie, biało na szare, zaśmiecone ulice. Zrazu jąkając się, nieśmiało, potem coraz goręcej starał się ją przekonać, by została. Kręciła głową odmownie. Mówiła, że nie może zostawiać swego ojca samego w tej jego trudnej sytuacji. Opowiedziała, jak to miejscowy pegeer prowadzi wojnę ze wsią — dawny dwór to był po prostu dobrodziej w porównaniu z tym sowchozem. I dwór się z chłopami wadził, ale to była niemal idylla. Dyrektor kołchozu, zbir spod ciemnej gwiazdy i nieuk — zbiory z hektara ma przeciętnie dwa razy gorsze od chłopskich, — usiłuje robić „walkę klasową" na wsi, by doprowadzić do przymusowej kolektywizacji i pozbyć się chłopskiej konkurencji. Jan słuchał — nie słuchał, wzdychał, wreszcie powiedział:

— Słuchaj, jedno twoje słowo i będzie z nami jak dawniej.

— Nie Janku, nie będzie jak dawniej. Między nami jest przepaść — krzywda narodu. Ja muszę wracać, skąd przyszłam — do narodu.

— Pojdę z tobą! — krzyknął w nagłej determinacji.

— I co będziesz robił?

— Pracował, pomagał...

— Romantyzm. Byłbyś tydzień, dwa. Dłużej byś nie wytrzymał.

— A ty? Wytrzymasz?

— Ja co innego. Ja tam swoja i oni moi.

— My wszyscy swoi. Pamiętasz, jak mówiłaś: że Warszawa jest nasza? Wszystko jest nasze, cała polska ziemia jest nasza i wszędzie powinno nam być dobrze. Jeśli tam jest źle, to dlatego, że władza ludowa nie jest jeszcze w stanie wszystkiego dojrzeć...

Joanna zaniosła się śmiechem prawie wariackim. Zatrzymała się i spojrzała mu w oczy roziskrzonymi źrenicami.

— „Władza ludowa"... „Władza ludowa"... Kto? Wy? — ścisnęła zęby. — Nie było kłamstwa na świecie większego... I nie było gorszej władzy antyludowej... To nas dzieli: „władza ludowa"... Która stawia bariery i mury między ludźmi coraz wyższe, coraz więzienniejsze... Masz złudzenia... albo udajesz... kariera cię oślepia.. Nie, my nie dla siebie.

Pobiegła na drugą stronę ulicy i wskoczyła do tramwaju, który właśnie ruszał z przystanku.

Jan stał jak sparaliżowany. Płatek śniegu padł mu do oka. Tarł palcem. Pod powiekami miał obraz Joanny: dwie krwiste kreski pełnych warg, nos mały z lekka zadarty, wielkie granatowe oczy, dwie czarne krechy brwi, równo ucięta ciemna grzywka, dwa ognie rumieńców na policzkach. Tarł oczy i tarł, obraz utrwalał się, pełniał, nabierał barw i kształtów.

—✱—

CHODZILI po polach. Jan patrzał na rzadkie i niskie żyto. Słuchał paplaniny dyrektora, który w kremowym kitlu i bryczesach stąpał obok niego z godnością. Cały czas Jan myślał o jednym: „Zobaczę ją, czy nie, spotkam czy nie spotkam, co zrobić, żeby spotkać?" Zdał sobie, teraz dopiero, sprawę, że właściwie przez te pół roku nie było chwili, w której nie byłoby z nim Joanny. Jechał tutaj też właściwie tylko po to, by ją spotkać; wymyślił tę inspekcję w tym jedynym celu, choć dziesięć innych argumentów przytoczył — rzecz jasna — ministrowi.

— Znajdujemy się na węzłowym punkcie problemów — popisywał się dyrektor. — Stoimy w obliczu zagadnień, związanych z zasadniczym przełomem. Wkraczamy w nową epokę. Nasza gospodarka rolna przestawia się na relsy socjalistyczne. My, kierownictwo państwowego gospodarstwa rolnego imienia towarzysza Bieruta, postanowiliśmy — w poczuciu naszej misji dziejowej — pomóc okolicznym wsiom w ich walce z kułactwem. Ze szczególnym uwzględnieniem aspektu kolektywizacji aktywizujemy elementy pracujące...

— Jakieś słabe to żyto, zbierzecie najwyżej osiem centnarów z hektara — powiedział Jan, myśląc jednocześnie: „Jak by tu o nią zapytać?".

— Kułacki sabotaż i brak nawozów — nabarmuszył się dyrektor, a jego skośnawe szare oczki zaszkliły się gniewem.

„Nędzne zboże, zamorzona hodowla, zaniedbane budynki, walące się baraki dla robotników — czworaki w folwarkach mojego ojca to były pałace w porównaniu z jego barakami — pordzewiałe, okulawione traktory — ot gospodarka państwowa" — myślał Jan.

— A jak się układa współpraca z chłopami indywidualnymi? — zaczął Jan krążyć koło najbardziej interesującej go sprawy.

— Toż mówię, że robimy co możemy w aspekcie kolektywizacji.

Weszli na szeroką drogę, która — szarym pasem ziemi, pooranej koleinami, pokarbowanej poprzecznie śladami traktora — oddzielała prawdopodobnie ziemie pegeeru od gospodarstw chłopskich.

— Czyja to ziemia? — zapytał Jan, kłoniąc głowę w stronę bujnego łanu pszenicznego.

— Ot, kułacka — powiedział kwaśno dyrektor i zmarszczył wielki nochal. Żeby zabawić tego mrukliwego i groźnie wyglądającego rewidenta, zaczął opowiadać mu — że ten kułak ma córuchnę, diabeł dziwka, nazywają ją w pegeerze „kułacka Joanna d'Arc", bo Joanna ma na imię...

Jan poczuł zimny pot na czole, chwilę szedł bez oddechu, a potem głęboko westchnął. Zachęcił dyrektora do gadania. Nosacz biadał, że władza ludowa wykarmiła żmiję na swej piersi, bo ona dostała wykształcenie na koszt państwa, skończyła agronomię, a teraz — pierwsza buntownica.

— To bardzo niepokojący objaw — mówił — wiele młodzieży kułackiej po skończeniu szkół w mieście wraca na wieś i przeciw nam wykorzystuje swoją wiedzę i otrzaskanie polityczne. Bardzo nam szkodzą. To problem. Partia powinna zamknąć uczelnie przed kułackim pomiotem — ściągnął wąskie usta grymasem sadystycznej nienawiści.

Jan myślał już tylko o tym, jak spotkać „kułacką Joannę d'Arc".

Wieczorem siedli do kolacji. Jadalnia dyrektorskiego apartamentu, jak i reszta pokojów — przypominała pańską rezydencję — rogate ściany, dębowe antyki, gęsto zastawiony stół. Usługiwały dwie tęgie dziewuchy — brunetka i blondynka. Brunetka wniosła kolejny półmisek i powiedziała:

— Obywatelu derechtorze, ta tam Joanna chce wejść... z chłopamy.

Jednocześnie w sieniach dał się słyszeć gwar, tupot nóg. Dyrektor zerwał się od stołu.

— Kto ich wpuścił? Niech się wynoszą! — krzyknął.

— Niech wejdą — powiedział głośno Jan.

Dziewczyna stała niezdecydowana. Jan powtórzył polecenie. Dziewucha wciąż stała, patrząc na dyrektora.

— Towarzyszu — nasrożył się dyrektor — nie wolno spoufalać kułackiej hołoty... Pokój nam zasmierdzą.

Jan przypomniał sobie, co mówiono o jego ojcu — że kiedykolwiek zjawił się w którymkolwiek ze swoich folwarków, zawsze, bez względu na porę, przyjmował zgłaszających się chłopów.

— Niech wejdą — powtórzył twardo.

— Każ im przyjść — powiedział dyrektor przez zęby do dziewczyny i odwrócił się, obrażony, od Jana.

Joanna weszła, właściwie wbiegła z podniesioną głową, z rumieńcami na policzkach, z roziskrzonym wzrokiem. Ubrana była w jasną luźną bluzkę i szeroką, czarną spódnicę. Za nią wsunęło się czterech chłopów w czarnych kapotach, w portkach, wpuszczonych w zrudziałe cholewy butów. Jan widział tylko Joannę. Joanna spojrzała na Jana, zatrzymała się i jakby cofnęła.

— Mówili ludzie, że przyjechał minister. Ja do ministra — powiedziała trochę drżącym i jakby schrypłym głosem. — Żeby wiedział, co się tu dzieje.

— Przyjechałem w imieniu ministra. Siadajcie, obywatele. Dyrektorze, proszę podać krzesła.

Dyrektor zmarszczył nos jak warczący pies, ale w głosie Jana — choć cichym — była taka siła nakazu, że bez słowa wstał i pozsuwał pod ścianą stojące tam luzem ciężkie krzesła z wysokimi oparciami.

— Proszę mówić jasno i śmiało — powiedział Jan po dłuższym milczeniu.

Dyrektor zaczął odzyskiwać rezon.

— Tej osoby do śmiałości nakłaniać nie trzeba. Razem ze swoim tatulem buntuje nam tu całą okolicę — warknął, marszcząc nochal.

Joanna wstała z krzesła i podeszła do stołu. Podniosła rękę i huknęła pięścią w stół.

— Bunt? — krzyczała. — Bunt, że gospodarzymy lepiej niż wy? Bunt, że padamy na pysk i odstawiamy wszystkie kontyngenty, które na nas państwo złośliwie nakłada? Bunt, że karmimy cały naród, który bez nas konałby z głodu?...

Dyrektor też wpadł w furię, też rąbnął pięścią w stół i wrzasnął:

— Agitację kułacką przyszliście tu robić?

Chłopi siedzieli nieruchomo i wpatrywali się w Joannę.

— Przyszliśmy tu... żeby przedstawicielowi ministra powiedzieć... że na dziś w nocy z nakazu dyrektora sowchozu — podkreśliła ten wyraz — planowany jest na naszą wieś napad.

— Kłamstwo! — krzyknął dyrektor.

Joanna odgarnęła włosy z czoła, milczała chwilę.

— Kłamstwo? — wyrwał się jeden z chłopów siedzących pod ścianą i wstał. — Kłamstwo? Ano to chodźmy do karczmy. Tam pijo te dyrechtorskie bandosy i przechwalajo się, że nos z dymem puszczo i bebechy poprujo. Chodźmy i zapytamy...

Na ustach dyrektora pokazał się drwiący uśmiech, wrócił mu rezon całkowicie.

— Ano chodźmy — powiedział — chodźmy. To się dowiemy, że chłopstwo pracujące nienawidzi kułactwa i żąda przyśpieszenia kolektywizacji.

— Chłopstwo pracujące? — zaczęła Joanna. — Nie! Zbiry przez pana opłacane i wódką pojone.

— Dlaczego nie pójdziecie ze skargą do milicji, jeśli uważacie, że tak jest naprawdę? — powiedział dyrektor z pozornym spokojem.

— Byliśmy, a jakże. Powiedzieli nam: „Jeszcze was nie pozabijali, to się nie martwcie"... Milicja! Nie dla nas jest milicja. My jesteśmy nie ludzie, nie obywatele. my jesteśmy wyklęci, napiętnowani, my jesteśmy... „wróg klasowy"!... Ale ja wam mówię: nie wygracie z polską wsią, tu nie Rosja! Tu chłop chłopu nie skoczy do gardła... Zbirów możecie przekupić i nasłać, ale nie starczy panu zbirów na cały naród polski... Powtarzam: tu nie Rosja, tu śladów waszych zbrodni nie skryje śnieg syberyjski. Świat się dowie. I nawet Rosja nie obroni was przed gniewem świata, bo sama się boi.

— Macie, towarzyszu, próbkę kułackiej agitacji antyradzieckiej — powiedział dyrektor.

Jan wstał.

— Dyrektorze, w imieniu ministra państwowych gospodarstw rolnych zlecam wam opiekę nad tymi ludźmi. Ani dzisiaj ani nigdy nikt nie będzie miał prawa dokonywać gwałtów i napadów... Będziecie odpowiedzialni osobiście za każdy akt bezprawia... Obywatele, możecie iść spokojnie do swoich domów, i spokojnie uprawiać ziemię, jak uprawialiście dotychczas.

—✱—

MINISTER, wymachując rękami, biegał po zielonym dywanie gabinetu. Jan stał lekko oparty o biurko.

— Coś ty zrobił? Coś ty narobił?

— Uratowałem prestiż władzy ludowej.

— Bzdura! Podtrzymałeś — prestiżem władzy ludowej — wroga klasowego. Rozzuchwaliłeś kułaka... Ten dyrektor już wszystkie władze zasypał listami i doniesieniami. Wychyliłeś się w prawo, po linii gomułkizmu. Jak ja teraz ciebie — i siebie — wybronię? Sam już nie wiem.

— Nie potrzebuje mnie pan bronić, obywatelu ministrze. Może mnie pan poświęcić w ofierze. Wygnać z ministerstwa. Właśnie przyszedłem prosić o dymisję, w ogóle o zwolnienie ze służby państwowej.

— Co? Taki idealny sekretarz? Czekaj, może się jakoś wybronimy. Zrobimy z tego dyrektora nosiciela odchylenia lewackiego...

— To wola pana ministra. Ale beze mnie. Ja się żenię...

— Z Dorotą? — bąknął minister zbaraniałym głosem.

— Nie, z Dorotą się rozeszliśmy.

— Może z tą kułaczką?

— Nie... Z Joanną.

Minister zatrzymał się i powiedział zimno.

— A tak, dymisji udzielam. Dla kułackiego zięcia w służbie państwowej miejsca nie ma... Ale co będziesz, głupcze, robił? — krzyknął.

— Będę z nią gospodarzył na kawałku ziemi.

— Będziesz z nią gospodarzył... Dureń! Pajac! Romantyk! Czy ty wiesz, że ten „kawałek ziemi" to wyspa tonąca, to zanikający świat?

— Nie sądzę. — Jan się wyprostował i mówił z zimną i uroczystą twardością. — Ta wyspa nie utonie. Tam jest trudno, nieraz koszmarnie... Ale tam jest przyszłość. Tam jest naród polski.

—✱—

WIECZÓR spłynął granatowym cieniem na złote rżysko i czubate kopy snopów pszenicznych. Zmęczeni całodziennym znojem przy żniwach, Jan i Joanna siedli na garści słomy, plecami oparci o leżący grupy snop.

— Piękna jest wasza wieś — powiedział Jan.

— „Wasza"? Wieś jest nasza — mówiła Joanna, splatając dłonie na karku i prężąc grzbiet, omdlały od całodziennego przygięcia. — Ja myślę, że dzisiaj cały naród spogląda na wieś... Tu u nas idzie jedna z najbardziej dramatycznych wojen o byt naszego narodu — o wolność i chleb.

Jan westchnął i powiedział:

— W jakich okropnych żyjemy czasach.

— Przejdą, przejdą złe czasy. Przetrwamy. Nie wymordują nas, nie wyaresztują, bo by z głodu sami zdechli... Przetrwamy. Tyle już zła waliło się na nasz naród. Tyle potopów i zaborów... Naród wytrzymał — bo w ziemię wrośnięty był pazurem i sercem... we własną ziemię. Czy to szlachcic czy chłop... Wytrzymamy, Janku. Teraz wszystko mi się wydaje łatwe i lekkie od czasu, kiedy jesteśmy razem. Tak tęskniłam, tak mi ciężko było bez ciebie przez te pół roku...

— A tak lekko mnie się wyrzekłaś, odeszłaś w gniewie, nie chciałaś wysłuchać...

— Bałam się — ciebie i o ciebie... Pókiś w nich jeszcze wierzył... Nie chciałam niszczyć ci kariery. Ale kiedyś już sam pojął i zrozumiałeś, że nie z nimi twoja droga, tylko z narodem...

— Jakie kłamstwa, ile fałszu... — wybuchnął Jan. — „Postęp" mówią, „demokracja" — a nie było jeszcze chyba w historii takich barier między ludźmi, takich przesądów, takiej nienawiści świadomie podtrzymywanej...

— A mimo to jesteśmy razem. Zwaliliśmy mury, które stawiali między nami.

— Tak było sądzone.

— Jeśli ludzie naprawdę się kochają, to w każdych czasach i po każdej drodze dojdą do siebie. Miłość to potężna siła, prawda Janku?

— I dlatego oni, ze swoją filozofią nienawiści, muszą przegrać.

— Muszą, muszą... Zmyje ich potężny potok ludzkich prawdziwych uczuć, nie zahamują jego biegu; nie wdepczą w ziemię źródła, które bije z ziemi, nie zgaszą słońca, które świeci na niebie... Ale chodźmy już na kolację.

Jan wstał i chciał ją wziąć na ręce. Wyrwała się ze śmiechem:

— Nie ma tak dobrze. Za ciężka jestem. Dosyć się napracowałeś.

Spleceni ramionami, szli przez twarde. szorstkie ściernisko w złotą kulę księżyca.

Janusz Kowalewski

ZAPISKI LONDYŃSKIE

ZGON KRÓLA WYSPY

W tych dniach zmarł Martin Coles Harman, 69-letni „król" wyspy Lundy, położonej w Kanale Bristolskim w pobliżu wybrzeża Devonu. Wyspa ta liczy zaledwie 12 mieszkańców, wśród których jest 6 latarników i stanowi w zakresie prawno - administracyjnym zupełną osobliwość. Nie podlega ona — jakby można się było spodziewać — jurysdykcji rady sąsiedniego hrabstwa Devon; jej stali mieszkańcy są wolni od płacenia podatków i opłat, obowiązujących w sąsiednich obszarach Anglii. Na przywóz wina i innych alkoholów nie ma żadnej akcyzy. Wreszcie — co już jest niebywałym curiosum, biorąc pod uwagę liczbę mieszkańców — wyspa posiada własne monety, specjalnie dla niej bite.

Właścicielem jej, a zatem i władcą stał się w r. 1925 Harman; kupił ją za 16 tysięcy funtów, spędzał na niej tyle czasu, ile tylko mógł, i nazywał ją swym „kieszonkowym dominium".

Harman był synem prowincjonalnego budowniczego; karierę swą rozpoczął jako skromny urzędnik jednego z zagranicznych banków w City z pensją 1 funta tygodniowo. Stopniowo dorabiał się coraz większej fortuny; w okresie pomyślności gospodarczej w r. 1928, stał na czele grupy spółek handlowo - przemysłowych z kapitałem 12 milionów funtów. Przedmiotem obrotów tych spółek była nafta, złoto, kauczuk. Nadeszła depresja i w r. 1932 Harman zbankrutował z długami przekraczającymi pół miliona funtów. Następnego roku oskarżony został o defraudację i oszukiwanie udziałowców; po długim procesie sąd skazał go na półtora roku więzienia.

Z tego dna upadku Harman zdołał się jednak podnieść i w kilka lat potem uzyskał zniesienie werdyktu stwierdzającego bankructwo i powrócił do życia gospodarczego i finansowego. Jak się zdaje jednak, nie pozostawił po sobie większego majątku.

„Król" wyspy Lundy był rosłym, silnie zbudowanym mężczyzną; znany był z tego, że nosił zawsze czarny kapelusz z niezwykle szerokim rondem. Do swej wyspy był naprawdę bardzo przywiązany; mieszkał na niej w swoim zamku. Na jednym ze wzniesień wyspy zbudował pomnik ku czci swego syna Johna, który jako żołnierz zginął w wieku 29 lat w Birmie.

„Król" wyspy zmarł w jednym ze szpitali w Surrey. Mieszkańców wyspy — wobec braku telefonów — zawiadomiono o tym drogą radiową.

MUZEUM JOYCE'A

Zmarły w r. 1941 autor „Ulyssesa" James Joyce ma w dalszym ciągu wielu entuzjastów. Pół wieku temu Joyce mieszkał w przysadzistej okrągłej baszcie obronnej, położonej nad morzem o kilkanaście kilometrów na południe od Dublina i będącej pozostałością dawnego systemu fortów, broniących stolicy Irlandii. Wraz z Joycem mieszkało tam dwu jego przyjaciół. Zarówno owa baszta jak przyjaciele weszli później jako motywy powieściowe do „Ulyssesa".

Obecnie jeden z wybitnych architektów irlandzkich Michael Scott nabył wieżę na licytacji za 4700 funtów. W przeciwieństwie do innych baszt, które uległy przeróbkom i zamienione zostały na biura lub mieszkania, baszta Joyce'a pozostała od owych czasów w niezmienionym stanie. Scott zamierza urządzić w niej muzeum pamiątek po zmarłym pisarzu. Posiada on pierwsze wydania jego dzieł i podjął starania o wydostanie maski pośmiertnej Joyce'a ze Szwajcarii. Poza tym zdobył różne inne pamiątki.

NARTY SPRZED PIĘCIU TYSIĘCY LAT. Rozpowszechniony jest mylny pogląd, że narodem, który wynalazł narty są Norwegowie. Już Nansen wysunął tezę, która zresztą do tej pory nie została jeszcze w pełni potwierdzona, ale jest bardzo prawdopodobna, że jazda na nartach zrodziła się gdzieś w Azji Środkowej i stąd rozpowszechniła po świecie.

Fachowiec angielski w tej dziedzinie Terence Heywood przypomina w „Observerze", że w Finlandii, Szwecji i Norwegii odgrzebano ponad sto nart prehistorycznych. „Najstarsze z nich — pisze Heywood — widziałem w Fiskartorpet Ski Museum w Sztokholmie; wedle katalogu mają one co najmniej 4200 lat, a prawdopodobnie 5.000."

Norwegowie zresztą stali się niewątpliwie pionierami nowoczesnego narciarstwa w wielu krajach.

STANISŁAW MŁODOŻENIEC

WIERSZE

DZWONY I KWIATY

1.

Słonko świeci. Jasny ranek.
Obudzili świętą Annę.

Zadzwoniła. Dzwonią dzwony:
— Cyklameny!... Anemony!...

Wstał i dzwoni święty Longin:
— Dam za kwiaty dwa szelągi!...

Oddzwaniają z Norbertanek:
— Cyklameny!... Tulipany!...

Na to głośniej święty Jakub:
— Brzęknę za nie pięć groszaków!...

Dzwon od świętej Magdaleny:
— Anemony!... Cyklameny!...

Licytuje w głos Katedra:
— Płacę z ręki grudą srebra!...

2.

Dzwonią dzwony. Od rogatek
naręczami niosą kwiaty.

Kwiatów zamieć. Dzwonów klamor.
Zgiełk narodu. Tłok przy bramach.

Wieść podają w Bazylice:
— Jedzie panna z pięknym licem!...

Święty Michał wieść rozwodzi:
— Biegnie za nią w piegach młodzik!...

Święty Józef głosi z hukiem:
— Patrzcie!... Dopadł!... Dał jej bukiet!...

Na to święty Aleksander:
— Taki brzydal!.... Będzie skandal!...

Święty Łukasz wątek zmotał:
— Patrzcie!... Dostał bryłę złota!...

3.

Na dzwonicach wziął się rumor,
licytują całym tłumem.

Sygnaturki, wielkie dzwony!
— Cyklameny!... Anemony!...

Święty Longin: — Dwa szelągi!...
— Tulipany!... Cyklameny!...

Święty Jakub: — Pięć groszaków!...
— Anemony!... Tulipany!...

— Grudę srebra!... da Katedra.
— Pięć tysięcy!... — Kto da więcej?...

— Anemony!... Cyklameny!...
sygnaturki krzyczą rzewne...

— Tulipany!... Anemony!...
pokrzykują, dzwonią dzwony...

4.

Święta Anna liczy grosze,
święty Longin z koszem poszedł...

— Tyle miedzi!... Tyle srebra!...
— Tyle kwiatów w kosze zebrać!...

Brzęk pieniędzy — srebro z miedzią.
— A gdzie złoto?... Kto by wiedział?...

To tłumaczy święty Łukasz:
— Nie znajdziecie!... Darmo szukać!...

— Bryłę złota — panny uśmiech —
porwał młodzik. Wziął i uciekł...

Patrzą: panna kwiaty tuli.
Serca dzwonom biją czulej:
— Anemony! Tulipany!...

Patrzą: orszak dziewcząt w bieli,
przy nich konne kawalery.
— Tulipany!... Cyklameny!...

Patrzą: panna z ust koralem
muska — co to? — pęk konwalii!...

5.

Takt się splątał sercom w dzwonach.
Milkną. Cisza zadziwiona.

Na ołtarze święci spieszą,
bo już księża idą ze mszą.

Ministranci wzięli biegać,
mszał rozkłada młodzik w piegach.

Świece jarzą złotym pyłem,
twarz mu lepią w złotą bryłę.

Znieruchomiał z piękna świątek,
w urok modlitw się zaplątał.

Orszak dziewcząt zalśnił bielą,
podtrzymują pannie welon.

Zadźwięczały głosy dziewcząt —
z perełkami płatki dźwięczą.

Zadźwięczały dzwonki małe —
pęk konwalii rozsypały.

Rozsypały pęk konwalii
dla Najświętszej Panny Marii.

SANDOMIERZ

W Sandomierzu, na pogórzu
w samym środku ratusz tam.
Na nim wieża. Po niej w chmury wzlata,
furka orzeł, polski ptak.

Król Kazimierz nie był żołnierz —
nawojował nama ziem.
Miasta po nim w kwardych stoją bramach,
mają śpichrze i co jeść.

Pod Sandomierz szedł zagonem,
co niejeden piął się wróg.
Ratusz dotąd, brama dotąd w pąsie —
z Kaźmierzowych cegieł mur.

W dole Wisła falą muska,
nad nią przysiadł stromo śpichrz.
Pachnie cisza w Długoszowym domu,
dach spadzisty w gloriach śpi.

Nad załomem wspiął się zamek
i zatoczył krągły łuk.
Stąd Maryna poszła w snach ogromnych
stroić carstwo z ruskich łbów.

Hań katedra. Gotyk w żebrach,
Bohomazów na nich gwałt.
Tyle śmierci stary czas scyganił,
Chryste Jezu, aże strach.

Od tych lęków święty Jakub
wziął — wąwozem w pola szedł.
Tam romańskie koroneczki wolał
kryć w gałęziach starych drzew.

Święty Michał nie miał ducha,
w innej stronie sobie siadł.
W barokowe cacka się ozdobił,
z aniołkami sypie piach.

Baszty, wieże w kwardym murze,
sygnaturek, dzwonów śpiż.
Kto przegada kogo w te hozanny,
gdy spuchł rynek z chłopskich ciżb?...

Z głośnych gwarów na jarmarku
pszenna mowa w żarnach gęb
gotyk miele, w barok go nagarnia,
to romańską kruszy rdzę.

Jak Sandomierz, zarżą konie,
nad lochami turkot kół.
Wrzask Tatarów nikiej za tą górką?...
Czy-ć Czarniecki Szwedów tłukł?...

Król Kazimierz nie był żołnierz —
nawojował Polski nam.
Po tym rynku chodzi sandomierskim,
kiwa chłopom, daje znak:

gdzie w czworobok kunsztem robót
pnie się w piętra ratusz tam,
gdzie zeń wieża, gdzie z niej w chmury wzlata,
furka orzeł, polski ptak.

WARWICK

Miasto jak stare cacko, zdjęte z rąk historii
i pod lustra Awonu ustawione. Warwick.

* * *

Tuż nad wodą się wspina zamek w baszt masywach.
Koronkami z kamienia fronton powyszywał;
i by nie dławić oka kamiennym widokiem,
pociął go taflami zmatowiałych okien,
wpatrzonych w dal szmaragdową, w ciepły łąk aksamit.
Stąd szły potężne earle wsławiać się czynami
lub w kości z losem pograć. Jak kto szczęścia dopadł:
czy króla na tron sadzał, czy szedł sam pod topór.

* * *

U stóp zamku uliczka, Młynarska się zowie,
kusi w czasów dalekich zaklętą opowieść.
Jak koniki łaciate, wszystkie karo-siwe,
w dwuszeregu stanęły przed oka podziwem,
miłościwie pieszczone w Tudorowskiej maści
domki drzewo-kamienne. Ludziom od nich jaśniej,
że kłom natury uszły i zaciekłych wojen.
Przytulone do zamku cieszą wzrok pokojem.

* * *

Z murów warownych miasta dwie ostały bramy.
Wschodnia frontonem wabi ślicznie nafttowanym,
w frędzelki wieżyc strojna i, choć niska, zgrabna.
Zachodnia brama groźny wyciągnęła kadłub.
Tuż przy niej dom szpitalny, co tę szorstkość gładzi
mozaiką ścian i ganków w skocznej defiladzie.
Wewnątrz pamiątki różne i szczegół żałosny:
jakieś miecze po królu, naszym Poniatowskim.

* * *

Na wzniesieniu najwyższym baszta kolegiaty
wieżyczkami góruje nad doczesnym światem
i strzeże dusz po earlach, co leżą w grobowcach.
Dla wielu z nich świątynia jest już wiarą obca.
Dźwignęli ją z kamienia do wysokich pięter,
zdobili w balustrady, w okien ornamenty
i dzwonów nawieszali... Dzwonią na nieszpory.
Melodią modlitewną pożegnamy Warwick.

* * *

Jeszcze w drodze powrotnej spojrzeć raz na Awon,
zmatowiały i cichy, nasycony sławą.

Stanisław Młodożeniec

JAN WALEWSKI

PIERWSZA PASTERKA POD TATRAMI

— ...Kieloz to roków temu bee? — pyta sie Sabały ksiondz Józef Stolarczyk, pierwszy pleban zakopiański.

— Bee cheba dwa razy po dwaścia roków.

— Dyć rychtyk. Przisełek w Zakopane w dwa roki po Powstaniu Chochołowskim, w 1848 Pańskim roku. Budowali my kościółek cosi kasi pięńć roków. Hej, to beło gwałtownisko! Ale cłek syćko przetrzimie, ino pomaluśku a wse. Juzem nieroz mesłoł, ze sie stracem. Bajtoć. Tako mi sie widziało, ze mi Poniezus nagodzi. Niwto. iny. Nei pirsom Pasterke śpiwaliśmy w roku 1853. Zima beła, hej, krotni milońscy! Pamiętos, Jasiu?

Zamilkł ksiądz pleban. Ciężko utrudzone ręce oparł na ramionach Sabały. Usiedli obaj na ganku, na plebanii. Ono ta i w tym roku 1893 ziła beła co sie tycy. Zakopane nurzało się w biało-błękitnej śnieżnej pościeli. Lasy dalekie, pachnące, ręką Boga rzeźbione w śliczne, ażurowe koronki zielonego igliwia, stały oto teraz senne, czapami śniegu nakryte. Od Gubałówki przyleciał lekki, wdzięczny podmuch, nachylił się miłośnie nad posiwiałymi głowami, potarmosił im włosy, pobaraszkował kożuchem księdza plebana i cuchą Sabały — i poseł! — młodymi wspominkami serca napełniając.

—✱—

Natrudził się niemało jegomość z góralami, zanim ich przywiódł do stóp Pana Jezusa. Dzicz to była wówczas, jak objął zakopiańską parafię, okrutna, naród na poły pogański. Niewiele skalni Podhalanie wiedzieli o Panu Bogu i nie bardzo się Nim interesowali. Jenze tele wiedzieli, ze w niebie cy gdziesi kasi beł Hruby Gazda. Oni zaś gazdowali w Zakopanem. Co sie ta bee gazda drugiemu gaździe naprzykrzoł? Nei poco? Mało to kazdy śnich mo roboty? A przy chudobie, a w polu, a w sałasach na holi? A cóz dopiro Pon Bóg. Ten musi mieć kierdele owiec... Nie policy. Po ksiendza, jak fte zachorowoł nie posyłali do kościoła w Hohołowie, bo to i daleko i po prowdzie — co tam mieli godać z „pacnołkiem", kiej po śmierźci i tak bedom z samym Hrubym Gazdom, w niebie cy ka indziej. Gazda gazde wse zrozumi. Jak zaś komu beło w te casy po drodze, to w niedziele zawadził o kościół w Poroninie, Hohołowie, Saflarach, abo i w samym Nowym Torgu.

Przichodziely weredy z gazdowskich rodów a sołtysich, polowace zatracone, zbojniki honorne, w kapelusach na głowie, z orlimi abo jastrzębimi piórami, z pistolcami za pasem a ciupagami w renkach, zapalali se fajki od lampy przed wielkim ołtarzem. Posłuchali kwilecke ksiendza na ambonie. Krzicoł do nik niejeden Jegomość: „Ej hłopy bezkurcje! Nie figlujcie z Pane Boge, bo wos syćkich ogień piekielny pożre." Oni sie zaś ino zaśmiejom, huncfoty, bo nic temu ksiendzowemu godaniu nie rozumieli. Nijakim świate.

— Dyć ono ta i fto wi, jako jest hań, niby w tym niebie... Chytrzyli śmiejąco i na freirki ino pozirali. Ftóro by śnimi pohipkała a do tańca bockowała. Nei tele beło z tego kościoła.

To ik pote kumotry pytali: „Witojciez z kościoła. Co słychać w karcmie?" Hej! bezkurcje, takie to bełу pogany, dylyngusy, weredy, ciućmoki a dudłoki zatracone. Natomiast ogromną nabożną czcią otaczali Cudowną, Najświętszą Panienkę Ludźmierską. Pyta sie kiedyś ksiądz Stolarczyk Sabały: „Jasiu, cemuz to nie uwazujes Poniezusa, a ino Noświętsom Panienke Ludźmirską?"

Zdumiony Sabała spojrzoł na plebana.

— Dyć Ona nasa, góralka, ze Skalnego Padhala, z Ludźmirza, co sie tycy...

— Neale Poniezus... — zacyno znowu pleban.

Przerywa mu Sabała zły i markotny.

— E dyć ten Poniezus, o ftórym telo godocie, to jakisi niepili, gdziesi kasi sie toto między zidami narodziło. Skoda. Hej! na mój dusiu! Zeby On tak beł z bacowskiej, godnej rodziny... Bełby hłop a hłop! Nei my nie dalibyśmy Go zidom ukrzizować.

Nijakim sposobe ni móg Sabała pojońć Tajemnicy Świętej Trójcy. ...No, Poniezus, niek ze ta juz bee, niekze ta bee pokwalony... Ale Duk Święty? Zeby ta jesce beł oreł, nas, tatrzański, neale taki maluśki gołąbek? Dyć On nicemu nie poradzi a Noświętsej Panience Ludźmirskiej nie worce i kyrpców ozwiązać... Nei co ta zaś za świenty, co w portkach nie chodzi...

— Bóg Ojciec — zacyno pleban.

— To On jesce zyje?

— Raty Boskie! — krzici pleban. — Jasiek, coz ty wygadujesz?

— Dyć pockojcie..., nie dziwujcie sie — dudli Sabała. — Jak bełem małym pajtasiem, sło mi na dziesieńć roków, abo i wiency, to mie kiedysi zabrali ociec z ciotkom Wiktom od Walcaków z Kościelisk do kościoła w Poroninie. Na ścianie wisioł taki maluśki nieduzy świenty z wielkom brodom. Hej! siwo ona juz beła i pado do mnie: „Jasiek, to jest Bóg Ojciec". Neale to bee temu roków cheba kopa i štyry, abo i pieńć. Tele casu! I jesce ten wasz Pon Bóg gazduje? — dziwi sie Sabała.

— Jasiek! Jasiek! Kiedy ty sie nawrócisz?

— Hej Jegomość! Dyć jo mom cas. Jesce se pogrzesem krzyne... Sami przecie godocie, ze w niebie jest większo uciecha z jedynygo nawroconego grześnika anizeli ze stu sprawiedliwych. Dyć fcem uciesyć Poniezusa — śmieje się Sabała.

Nie było na niego rady, ani jemu podobnych gazdów. Ale dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku — niezmordowanie, z jakąś szaloną pasją, pełną nieogarnionej, żarliwej wiary — urabiał pleban dusze i serca zakopiańskich górali. Przemieniały się zwolna te zadziorne, harde, honorne natury o drapieżnych duszach. Ludzie mu coraz więcej wierzyli. Ze zaś beł hłop na dwa metry z okładem, że był ich, rodem z Podhala, góralski obyczaj zachowywał i ludzi szanował, po weselach chodzieł i potrafił dwa abo i trzi dni hipkać drobnego a zwyrtanego, że potrafił beczkę kiszonej kapusty wynieść na plecach z piwnicy na furmankę, że pierwszy z Polaków na Garłuch wyszedł, że wiedział, po co Pan Jezus przemienił w Kanie Galilejskiej wodę na wino i to podobno węgierskie, pokochali go wreszcie górale ogromną, prostą, ludową miłością.

A gdy nareszcie był już gotowy pierwszy, drewniany kościółek w Zakopanem, co mieścił w sobie z pół tysiąca ludzi, doczekał się miłujący swój lud pleban, że na pierwszą Pasterkę w tym kościółku przyszli zakopianie gromadą. Odprawił ją głęboko wzruszony mój-że ksiądz pleban w roku Pańskim 1853.

—✱—

Nieraz i nie dwa ozpowiadoł Sabała, jako to beło w ową świentom Noc. A pysznił się przy tym a dumnił. Ludzie od rana sposobili się na uroczystość. Wymyci, wypucowani, radośni. Przybrali kościółek, ich kościółek, młodymi smrekami a cetyną, a dywanikami własnej roboty, a donicami ubożuchnych kwiatuszków. Na jedynym ołtarzu, przed cudowną Panienką Ludźmirską, rozsypali pełno kocich-łapek, szarotek spod śniegu w wiadomych im miejscach zgrabiałymi rękami wygrzebanych, że to przecież najpiękniejszy kwiat tatrzański... Patrzały filcowe szarotki swymi orzęsionymi starym złotem oczyma na Panienkę, na plebana, na swoich. Kościółek lśnił białością ścian i pachniał młodym, ściosanym drzewem.

Od rania wyszło na świat królewskie, tatrzańskie słońce i ozłociło Zakopane, góry i lasy, regle, hale i dolin. Gorzały Tatry jak olbrzymie świece na jeszcze większej choinie zakopiańskich lasów, jak gdyby oplecione złoto-srebrnymi włosami anielskimi. W cichości bezmiernej dymiły chałupy błękitnym dymem, prosto w niebo.

A gdy błysnęła pierwsza gwazda, gdy zadzwoniła młodą radością sygnaturka koscielna, gdy nad zakopiańską doliną nachyliło się ciemno granatowe niebo, miliardami srebrnych gwoździ nabite — nie mógł kościółek pomieścić wszystkich górali. Przybyli Gąsienice, Walczakowie, Roje, Ustupscy, Cichonie, Cudzichy, Sieczkowie, Króle, Nowobilscy, Marusarze, Czubernaty, Krzeptowscy, Łuszczyki, Gacki... Kto by ich tam wszystkich policzył! Przybyli rodami, gazdowie i gaździny, z dzieciskami, z pajtasiami na ręku, radośni, weseli, szumnie a godnie.

Ksiądz pleban Stolarczyk przeżywał swój wielki, jedyny dzień w życiu. Wiedział, że ten dzień się już nigdy nie powtórzy w swej jedyności i z głębi swego prostego, góralskiego serca dziękował Panu Bogu i Cudownej Panience za łaskę, za szczęście. Zakochanymi oczyma patrzał na ten swój lud podhalański, przyciskał ich wszystkich w myślach do swego serca i tylko siwoniebieskie oczy jarzyły się mu przeogromną jasnością.

Od umajonego, maleńkiego ołtarza patrzała w rozmodlony tłum Cudowna Panienka swym dobrym, tajemniczym uśmiechem, którym — jak mówi legenda — rozświetlił ją święty Łukasz za dawnych, dawnych czasów. Leciały do Niej zakochane oczy góralskie, wierne i już w pełni dziś chrześcijańskie. Z daleka, z daleka nachylały się przez otwarte na oścież drzwi kościelne tatrzańskie szczyty, wielcy panowie, straż rycerską nad tą prześliczną ziemią podhalańską trzymający. A kiedy wzruszony ksiądz pleban zaintonował: „Bóg się rodzi, moc truchleje..." — poszła pieśń w dolinę zakopiańską jak górski wicher.

A potem, chóralnie, za swym plebanem, rozmodlił się falujący tłum prośbą-wołaniem o ślebodę ojczystą, o Polskę, o własne, polskie gazdostwo.

—✱—

Dawne czasy. Padli sobie w ramiona ksiądz pleban i Sabała. Tam, na ganku, na plebanii zakopiańskiej.

Jan Walewski

MARIAN ŁYSAKOWSKI

WIERSZ JESIENNY

A jeśli będzie wieniec, niech z białych chryzantem
położą u stóp moich hieratycznym gestem,
a powieki zostawią otwarte, bo stamtąd
dostrzec mogę me miasto, dla którego jestem.

Za sztreką, sinym wężem wijącą się w wieczór
listopadowych gromnic i zwiędłego zielska,
są moje małe góry, które leczą
z śmierci wielkich przestrzeni milczeniem anielskim

A w pośrodku miasteczka zostawiłem młodość;
do niej pójdę, podejdzie jak Seret wieczysta
i weźmie mnie jak matka, łaskawą dłoń poda.

— — — — — — —

Z ołtarza spojrzy czarny, milatyński Chrystus.

Marian Łysakowski

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

BOŻE NARODZENIE 1954.

NASZE SPRAWY

CHOROBA LETNIOŚCI

W „Boskiej Komedii" Dantego, na samym początku, znaleźć możemy opis pochodu potępieńców u samego przedsionka piekła, potępieńców, którzy nawet do właściwego piekła nie mają dostępu. Są oni nadzy, zapłakani i zalani krwią. Łażą po nich robactwo, gryzą ich całe roje os i szerszeni.

Dante, który zstępuje do piekieł, prowadzony przez Wirgiliusza, zapytuje swego przewodnika, co to za ludzie.

Wirgiliusz odpowiada, że są to

"l'anime triste di coloro,
che visser senza infamia e senza lodo.
Mischiate sono a quel cattivo coro
degli angeli che non furon ribelli,
ne fur fedeli a Dio, ma per se foro.
Cacciarli i ciel per non esser men belli,
ne lo profundo inferno gli riceve,
che alcuna gloria i rei avrebber d'elli."

(„Są to smutne dusze, które żyły bez hańby i bez zasługi. Zmieszani są z ich łajdackim chórem aniołowie, którzy się ani nie zbuntowali, ani nie byli wierni Bogu, lecz żyli tylko dla siebie samych. Wygnało ich niebo, bo nie byli piękni i nie przyjmuje ich głębokie piekło, bo potępieńcy doznaliby czegoś w rodzaju chwały przez porównanie z nimi.")

Wirgiliusz odnosi się do nich z pogardą:

— Nie mówmy o nich; rzućmy na nich okiem i mińmy ich. („Non ragionam di lor, ma guarda e passa.")

Na czele pochodu niesiona jest chorągiew, która faluje na wietrze z zawrotną szybkością; jest to symbol zmienności przekonań i postawy tych ludzi.

Dante przypatruje im się przez chwilę i stwierdza:

„Incontanente intesi e certo fui
Que quest' era la setta dei cattivi,
a Dio spiacenti ed a' nemici sui."

(„Zrozumiałem i upewniłem się, że to był zastęp łajdaków, nienawistnych zarówno Bogu, jak i Jego wrogom.")

Wśród win ich Dante wymienia między innymi — tchórzostwo (viltate).

Ta przejmująca wizja poetycka największego poety w literaturze chrześcijańskiej pozwala nam lepiej sobie uzmysłowić opinię, jaką mają w świecie ludzie ani nie gorący, ani nie zimni, lecz letni.

Letniość, to jedna z klęsk dzisiejszej cywilizacji. A już w szczególności jedna z klęsk dzisiejszego życia polskiego.

Można powiedzieć, że inteligencja polska, a zwłaszcza inteligencja emigracyjna jest letnia w przytłaczającej większości.

— Pan jest katolikiem?

— Naturalnie. Oczywiście, że jestem katolikiem.

Naturalnie. Oczywiście. On jest katolikiem. On nie jest ateistą, nie jest bezbożnikiem, nie jest — broń Boże — komunistą. Co znowu!

— A w kościele pan bywa?

— Owszem. Czasem bywam. Bywałem do niedawna nawet co niedziela, ale teraz przestałem, bo się przekonałem, że ksiądz plecie na kazaniach głupstwa.

— Cóż takiego?

— Powiedział, że katolikowi nie wolno jest stosować środków zapobiegawczych przeciwko zapłodnieniu. Panie! Co przesada, to przesada. Rozumiem, żeby zakazywać spędzenia płodu; ostatecznie istotnie... Zabijać już istniejące życie... A przy tym... to jest zabronione przez prawo, można się narazić na nieprzyjemności. Ale środki zapobiegawcze? Co za dużo, to niezdrowo. Ja jestem, owszem, katolikiem i rozumiem, że ksiądz od tego jest, by w kazaniach nawoływał do cnotliwego życia. Ale rozumny ksiądz powinien wiedzieć, że są granice — panie tego — zdrowego rozsądku.

Oto mamy przykład katolika.

Czy mało jest takich? Czy to wyjątek? — Nie. Takich są tysiące.

On pości w Wielki Piątek, ale przecież nie co piątek. (Przecież to by była przesada!) On nie popełnia wielkich grzechów, które są zabronione przez prawo, no i których popełnienie może narazić na nieprzyjemności. On nie popełni morderstwa, ani prawdziwej kradzieży, ba! on się nawet nie rozwiedzie z żoną. Ale — panie — takie małe ułatwianie sobie życia, trochę lenistwa, trochę tchórzostwa, trochę oportunizmu, trochę kompromisu z sumieniem...

Katolik, patriota, w słowach postać spiżowa. Ale w istocie — miękisz, słabeusz, człowiek bez ideałów i zasad, goniący tylko za pieniądzem, za wygodą, za używaniem życia, za tym, co najłatwiejsze, najmniej ryzykowne, najmniej wymagające charakteru, zgoła nie wymagające poświęcenia, dyscypliny, pracy nad sobą.

Od ludzi tego typu dusi się dziś życie polskie. I od nich gnije cała zachodnia cywilizacja.

W pewnym sensie — nawet człowiek do gruntu zły jest mniej szkodliwy od nich. Bo winy jego są jawne, oczywiste i dlatego dla człowieka o normalnych, zdrowych instynktach nie stanowią zaraźliwego przykładu.

Tylko wyjątkowy człowiek nie odczuwa wstrętu do morderstwa, do gwałcenia nieletnich, do rabunku, do kradzieży, do zdrady ojczyzny. I tylko wyjątkowy człowiek skłonny jest dostać się pod wpływ mordercy, zdrajcy, czy sprawcy innych, wymienionych przed chwilą zbrodni. Tam, gdzie przeciwieństwo złego i dobrego jest wyraźne — tam łatwo jest utrzymać wysoki poziom szerokiej masy uczciwej.

Ale ludzie letni granicę między złym i dobrym zacierają. Oni także są na pozór — dobrzy. Ale to jest tylko pozór. Oni „ani się nie zbuntowali, ani nie są wierni Bogu; żyją tylko dla siebie". I za ich przykładem, coraz liczniejsza rzesza ludzi zaczyna żyć — tylko dla siebie. Idzie za nimi młodzież. Idzie za nimi lud. Idzie za nimi ogół.

Człowiek wyraźnie zły, to jest przynajmniej pewna skala charakteru. On wie, czego chce, on wie, na co się zdecydował i co robi. Być może bliższy on jest nie te letnie średniaki zbawienia? On zdaje sobie sprawę z tego, kim jest. I dlatego może się w nim zbudzić sumienie. Będzie on potrafił zawrócić z drogi z tą samą stanowczością i odwagą, z jaką na nią wkroczył. Może się on już z sobą mocuje? Iluż to wielkich morderców zostało gorącymi katolikami, iluż zbrodniarzy i wielkich grzeszników zostało świętymi!

A te średniaki nigdy się z sobą nie mocują, nigdy nad sobą się nie zastanawiają, żadnej drogi, ani złej, ani dobrej, nie obierają i żadnych stanowczych decyzji w życiu nie podejmują. To są ludzie ślepi i śpiący. Jak powiada Dante, to są „sciaurati, che mai non fur vivi" — nieszczęśnicy, którzy nigdy naprawdę nie żyli. Nigdy nie żyli życiem świadomym i pełnym. Ich grzechy są małe i mdłe, ale też i ich zasługi są równe zeru.

Otóż potrzeba jest dziś światu charakterów. Potrzeba jest ich zwłaszcza w Polsce. I dlatego walczyć musimy z największą klęską, rozkładającą i niszczącą charakter, jaką jest choroba letniości. Owej letniości, która nie buntuje się przeciw Bogu, ale też i Bogu nie służy. Nie buntuje się, bo jest do tego za leniwa i za tchórzliwa. A nie służy, bo Boga nie kocha. Nie kocha w ogóle nikogo i niczego, prócz siebie, swojej wygody, swego zysku i swej przyjemności.

POLONUS

Następny numer „Ż Y C I A"

ukaże się z datą 2 stycznia 1955 w objętości 6 stron druku, z miesięcznym dodatkiem „ŻYCIE KRAJU", a oprócz tego w numerze znajdą Czytelnicy KALENDARZ ŚCIENNY NA ROK 1955.

ZŁOTE WYSPY

(Dokończenie ze str. 4)

francuska jest zresztą głównie miejska, o ile nie wielkomiejska, źle się czuje na wsi prawdziwej, zawsze na wysokich obcasach i w rękawiczkach i prędzej już dogada się z proletariuszem niż z chłopem.

Zresztą nie tylko francuski tłumacz zająknie się, gdy mu przyjdzie podjąć się transpozycji poetyckiej któregoś z wierszy Mistrala. Weźmy na przykład „Zboże księżycowe", jeden z poematów składających się na „Złote wyspy" w dziale „Fantazje". Pierwsza trudność: refren. Refren prowansalski jest urzekający melodyjnością, nieodtwarzalny. Brzmi:

**„La luno barbano
Debano
De lano.
La luno barbano
Debano
De lin."**

Co znaczy: Widmowy księżyc wije wełnę. Widmowy księżyc wije len. (Wszystkie litery czyta się jak po polsku i akcent także jak u nas na przedostatniej sylabie, oprócz lin.)

Nasz męski księżyc psuje zawsze szyki tłumaczom z języków romańskich, gdzie króluje urocza Luna. Ale nie tylko na tym polegała trudność w przetłumaczeniu tego refrenu. Dźwięki -ano, -ino, -in, melodyjne i naładowane nastrojem, powtarzać się będą w całym wierszu. Jak oddać ten sam nastrój w pokrewnym zestawie dźwiękowym?

O księżycu oczywiście nie było mowy. Na szczęście możliwa jest u nas Luna, personifikacja, w jednym słowie ścieśniająca „la luno barbano" — i księżyc i jego pewną niesamowitość. Końcówki -ano, -ino są bez porównania rzadsze w języku polskim. Trzeba było zadowolić się więc pokrewnymi im miękkimi -l i -n. Tłumaczenie wypadło tak:

**To Luna
W bieli
Lnianej kądzieli.
To Luna
W bieli
Lnu.**

Niestety, w pierwszej części refrenu, zamiast porządku malejącego, zwykłego Mistralowi, ilość sylab rośnie. Tłumaczenie wszakże, to przedsięwzięcie pełne kompromisów, zawsze z czegoś trzeba zrezygnować, żeby co inne okupić. Dalszym kompromisem jest też budowa stroficzna całego wiersza. U Mistrala wygląda ona tak:

**S'entènd peralin
L'aigo que lalejo
E batarelejo
Darrié lou moulin.**

(Co znaczy dosłownie: Słychać w dali wodę, która szepcze i ciurka za młynem.) Cały utwór składa się ze strof czterowierszowych, przerywanych refrenem przedzielonym na dwie części. Ale u Mistrala strofa zbudowana jest a bb a, przy czym a ma stały i nieodmienny rym męski przez wszystkie siedemnaście strofek na -in (peralin, moulin, petelin, enclin itd., echo do lin z refrenu). Skądże ich nabrać tyle w polskim, żeby nie było sztucznie? Właśnie, żeby całość żyła swoim życiem? Proponowane tłumaczenie polskie tej strofy wypadło tak:

**Słychać z oddali
Szept wodnej fali
W młyna stawiskach
Pluska i pryska.**

Tak więc pogwałcony niemiłosiernie Mistralowy schemat stroficzny (w dalszych strofach schemat ten będzie się jeszcze, niestety, zmieniał) na rzecz — właśnie treści, pokrewności w nastroju i w brzmieniu. Mowy nie ma o jednym rymie stałym i to męskim. Tyle, że rymy będą możliwie miękkie, jak w refrenie.

Oryginał prowansalski jest prosty, niewymyślny w słownictwie. Poza tą jedną Luną, bez której nie byłoby refrenu i nie byłoby tłumaczenia, starało się ono zbliżyć do tonu ballad. Ostatecznie, nie tak wiele brakowało, aby wileński Adam był rówieśnikiem Fryderyka z Maillane. Jeżeli komuś przy czytaniu tego tłumaczenia zapachnie jakby Świtezianką (chociaż to inna zupełnie historia), a nie klajstrem i potem, to chyba już więcej tłumacz od życia wymagać nie może.

Zofia Romanowiczowa

KSIĘŻYCOWE ZBOŻE

**To Luna
W bieli
Lnianej kądzieli.**

**Słychać z oddali
Szept wodnej fali,
W młyna stawiskach
Pluska i pryska.**

**To Luna
W bieli
Lnu.**

**Luna nachyla
Lica jak lilia,
Lusterko z drżeniem
W biel wplata cienie.**

**To Luna
W bieli
Lnianej kądzieli.**

**Tamaryszkami
Zając swawoli,
Pod jałowcami
Ptak świstem mami.**

**To Luna
W bieli
Lnu.**

**Z dziupli na drzewie
Puszy się w gniewie
Sowa i ślepia
W cień szklane ślepia.**

**To Luna
W bieli
Lnianej kądzieli.**

**Nietoperzami
Niebo kołuje,
Pies poszczekuje
Za opłotkami.**

**To Luna
W bieli
Lnu.**

**Sennie, powoli
Furmanka minie,
Z warzelni soli
Lub ku salinie.**

**To Luna
W bieli
Lnianej kądzieli.**

**Dziadek gderliwy,
Stara babina
Drzemią zgarbieni
Koło komina.**

**To Luna
W bieli
Lnu.**

**Bim-bam dziewiątą
Zegar wydzwonił,
Świerszcz się zaplątał
W najcieńszym tonie.**

**To Luna
W bieli
Lnianej kądzieli.**

**Mantyla skrywa
Liczko, co płonie,
Wicher się zrywa
Rży dzikim koniem.**

**To Luna
W bieli
Lnu.**

**Cień się wywinął
Na powitanie,
Chłopiec dziewczynę
Ujął pod ramię.**

**To Luna
W bieli
Lnianej kądzieli.**

**Ten młody nicpoń,
Ta latawica
Idą gdzie wiedzie
Smuga księżyca.**

**To Luna
W bieli
Lnu.**

**Idą szaleni,
Idą spleceni,
Świetlików łowią
Nikłe promienie.**

**To Luna
W bieli
Lnianej kądzieli.**

**I rwą garściami
Mak księżycowy
I księżycowe
Zboże ponowy.**

**To Luna
W bieli
Lnu.**

**Gdy księżyc nowy,
Lekkoduch Amor,
Wiecznie tak samo
Rusza na łowy.**

**To Luna
W bieli
Lnianej kądzieli.**

**Miłość się nuży,
Księżyc odmienia,
Wino się burzy,
W ocet się zmienia.**

**To Luna
W bieli
Lnu.**

**Mija godzina,
Miły przepada,
Wraca dziewczyna
Do domu blada.**

**To Luna
W bieli
Lnianej kądzieli.**

**A Zły, co mami
Za opłotkami,
Kopytem grzebie
I rży jak źrebiec.**

**To Luna
W bieli
Lnu.**

20 listopada 1874.

FRYDERYK MISTRAL
(tłum. **Zofia Romanowiczowa**)

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

PAMIĘTNIKI AMBASADORA O'MALLEYA. Społeczeństwo polskie w Londynie ma w żywej pamięci Sir Owena O'Malleya, który w latach 1943 - 1945 był ambasadorem brytyjskim przy rządzie polskim w stolicy Anglii i na tym stanowisku wykazał szczególnie dużo przyjaźni i czynnej życzliwości dla Polski. Niewątpliwie też wśród Polaków wzbudzą zainteresowanie jego pamiętniki polityczne, które właśnie ukazały się w druku pt. „The Phantom Caravan" (John Murray, cena 21 szyl.).

Bardzo ciekawy i zawierający dużo spostrzeżeń jest opis podróży autora po Rosji, Chinach, Indochinach, Meksyku, Hiszpanii, Węgrzech i Portugalii. Główny punkt ciężkości książki leży oczywiście w tym, co O'Malley pisze o tragicznych kolejach sprawy polskiej w końcowym okresie wojny.

„Doprawdy nie więcej się odnosiło pożytku — pisze — przez dyskusje i rokowania ze Stalinem i jego kompaniami, niż przez dyskusje i rokowania z gromadą goryli i grzechotników."

Styl książki jest dosadny i barwny. O'Malley uważa, że jedną z przyczyn ustępstw robionych Rosji była obecność w BBC i innych organach opinii publicznej „osobników z osobliwymi cudzoziemskimi nazwiskami" i „o krwi mieszanej", ludzi o „wieloletnich przynależnościach, samozwańczych zbawców społeczeństwa, zajadłych małych mesjaszy i „dobroczyńców", zbzikowanych profesorów, wyraźnych „fellow - travellersów" i niezliczonych ich popleczników spośród zawiedzionego i ambitnego proletariatu intelektualnego — ludzi drążących jak korniki drzewne, psujących i zmiękczających swą śliną i swymi ekskrementami dębowe serce Anglii".

Recenzent „Times Literary Supplement" nie może powstrzymać się od uwagi, że pobojowość autora książki jest wynikiem jego „irlandzkości". Ale Sir Owen sam nieraz to swoje pochodzenie podkreśla jako cechę dodatnią.

„Ambasador z obcym nazwiskiem i obcego pochodzenia jak ja — pisze — zażywa pewnych korzyści w zestawieniu z urzędnikami czysto angielskimi, jest bowiem faktem, że cudzoziemcy skłonni są myśleć, iż Irlandczyk potrafi spoglądać w sposób równie obiektywny jak oni na słabe strony Anglików."

Recenzent osądza zresztą książkę O'Malleya w sposób na ogół życzliwy. Przypuszczać należy, że będzie ona miała znaczne powodzenie na rynku czytelniczym.

PAMIĘTNIKI BENESZA. „Memoirs of Dr. Eduard Benesz" ukazały się w tłumaczeniu Godfreya Liasa (t. I, Allen and Unwin, cena 30 szyl.). Lias w swym obszernym wstępie stwierdza, że istnieje duży brulion drugiego tomu, obejmującego kryzys „monachijski", a więc niewątpliwie także sprawy, związane z ówczesnymi stosunkami polsko-czechosłowackimi. Nie wiadomo jednak, czy ten tom będzie się mógł ukazać. Co do tomu trzeciego, który miał objąć „wewnętrzne" dzieje ostatniej fazy wojny od czasu, kiedy tymczasowy rząd Czechosłowacji zainstalował się w r. 1945 w Pradze, nie wiadomo nawet, czy przygotowania do jego napisania wyszły poza stadium ogólnego planu.

O CYWILIZACJI MAYÓW. Cywilizacja dawnych Mayów od pewnego czasu szczególnie fascynuje uczonych. Ostatnio nakładem University of Oklahoma Press pojawiło się fascynujące dzieło J. Erica S. Thompsona „The Rise and Fall of Maya Civilization" (cena 5 dol.).

Thompson jest entuzjastą zwłaszcza sztuki Mayów, tak odrębnej od sztuki Zachodu, i stara się wyjaśnić jej charakter i zasadnicze elementy. Jest rzeczą zdumiewającą, że cywilizacja, która doszła do tak niebywałych, jak na tamte czasy, osiągnięć w dziedzinie astronomii, matematyki i literatury, nie stworzyła języka pisanego inaczej niż w postaci hieroglifów, nie zdołała odkryć zasady koła i wierzyła, że świat spoczywa na grzbietach dwóch olbrzymich aligatorów.

Thompson zastanawia się nad upadkiem najpierw „starego imperium" Mayów, które rozkwitało w pierwszym tysiącleciu po nar. Chr. w dzisiejszym południowym Meksyku, Gwatemali i Hondurasie, następnie zaś „nowego imperium", które w dwa stulecia później powstało w północnym Jukatanie. Na temat upadku obu tych imperiów, a łącznie z nimi i całej cywilizacji Mayów, Thompson wysuwa nową hipotezę, mianowicie, że miasta Mayów były jedynie ośrodkami obrzędów, a lud spędzał życie głównie w prymitywnych wsiach, podobnych do tych, jakie są zamieszkiwane przez dzisiejszych Mayów. Ośrodki rządzone były przez mniejszość teokratyczną, złożoną z kapłanów i dostojników, która skupiała także całą działalność kulturalną Mayów. Prawdopodobnie w wyniku szeregu rewolt chłopskich rządząca mniejszość została obalona, ustały obrzędy religijne w miastach, świątynie i piramidy zostały opuszczone, a sztuka upadła. Mayowie stali się znów ludem, wiodącym życie proste i prymitywne, ale nadal zamieszkiwali te same obszary.

OBRONA BOŻEGO NARODZENIA

(Dokończenie ze str. 2)

mination and Tryal of Old Father Christmas"; drugi to „The Afternoon Tryal of Old Father Chrismas". Obydwa były wydane w Londynie.

Są one charakterystyczne dlatego, że właściwie wszystkie argumenty, którymi posługiwano się w zwalczaniu i w obronie Bożego Narodzenia, są w tych dialogach zebrane w formie zeznań świadków w sądzie. Personifikacja święta Bożego Narodzenia, stary człowiek Christmas, zjawia się na ławie oskarżonych. Według danych osobistych odczytanych w sądzie Christmas pochodzi z miejscowości Przesąd, w powiecie Błędów. Jest on oskarżony o to, że „psuł ludzi w Rzeczypospolitej, pociągając ich do pijaństwa, obżarstwa, gier, rozpusty i przeklinania". W czasie rozprawy świadkowie zeznają bądź w jego obronie, bądź przeciw niemu. Jury wydaje wyrok, że Christmas jest niewinny i dodaje nakaz, że „kto nie obchodziłby świąt, ten będzie pozbawiony majątku".

Takie stanowisko autora wywołało zapewne głosy krytyki, skoro napisał on drugi traktat „The Afternoon Tryal of Old Father Christmas", również wzorowany na rozprawie sądowej. Sąd po przesłuchaniu dalszych świadków wydaje również i tym razem wyrok uniewinniający, ale dodaje następujące upomnienie na przyszłość: „Ale dla uniknięcia tych wszystkich zgorszeń, jakie zarzucano, pamiętaj, (Christmas), że twój urząd jest nie tyle, by ciało świętowało, ile by dać radość duszy przez pobożne rozmyślanie o... Bożej miłości ujawniającej się w Bożym Wcieleniu". Niemniej znamienna jest odpowiedź Christmas'a, który przyrzeka obchodzić święto w sposób religijny.

Tak w wyroku jak i w przyrzeczeniu zawierał się sens dokonywującej się zmiany w sposobie obchodzenia Bożego Narodzenia. Traciło ono wiele z świeckiej radości z czasów elżbietańskich; zanikały zwyczaje, jak the Lord of Misrule czy Boy Bishop, ale zaznaczał się bardziej religijny charakter tego święta.

Blisko stuletnia wojna o Boże Narodzenie w Anglii nie była zjawiskiem odosobnionym, bo oprócz Genewy na kontynencie europejskim, spory o to święto toczyły się w Szkocji i w Nowej Anglii, a głównie w stanie Massachusetts. Na wszystkich tych odcinkach święto Bożego Narodzenia odniosło zwycięstwo nad jego przeciwnikami.

Jan Wepsięć

Ż Y C I E Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W.2. England. Telefony: Redakcja: i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P R E N U M E R A T A płatna z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. WPŁATY a) **w krajach bloku szterlingowego:** Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym. C E N Y O G Ł O S Z E Ń: 1 cal przez I łam — £ 1.0.0. w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. P R Z E D S T A W I C I E L S T W A i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: Przedstawiciel — **„Libreria Polaca"**, Serrano 2076, Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciele: **„Vistula" (Australia) Pty**, 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 85 Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide, S. A. BELGIA: Przedstawiciel — **E. Kułakowska**, 101, Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. 90 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — **Z. Kietlińska**, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana oraz **Rev W. Słapa**, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — **„Libella" Librairie**, 12, Rue St. Louis-en-l'Ile, Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — **B. Galas**, Fagelstraat 15A, Breda. KANADA: Przedstawiciele — **Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, 4118, Western Ave., Montreal 6, **International Book Service**, 57, Queen Str. W., Toronto 1 **„Radegast"**, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man. Prenumerata kwartalna $ 2.00. NIEMCY: Przedstawiciele: **S. Mikiciuk**, Seehammerstr. 4, Bar. 16 B/2 (13B) München 54 oraz **„Informacja Prasowa"**, Postfach 86 (23) Quakenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM. NORWEGIA: Przedstawiciel: **B. Łubiński**, Fagerturveien 14, Bestun ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: **„Gryf Publications"**, 615, **Henry Street**, Utica N.Y. oraz **M. Kijowski**, 13171, McDougall, Detroit 12, Mich., oraz **J. Stojanowska**, 424, Ave „E", Bayonne, N. Jersey oraz **„Pomoc" — Eksport Import**, 761, Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenumerata kwart. $ 2.00. SZWAJCARIA: **Mgr A. Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna 5.00 frs. SZWECJA: Przedstawiciel: **Mgr B. Kurowski**, Lund, Revingegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: **Mme Z. Bulhak-Jelska**, via Salaria 300 C, Roma.

W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PADdington 9734